

59705



CHRZCINY U WÓJTA

OPISANE PRZEZ

STACHA DWORAKA.



WARSZAWA,

1864.

Cena gr. 40.

CHRZCINY U WÓJTA

OPISANE PRZEZ

STACHA DWORAKA.

Komputer



WARSZAWA.

—
1864.

F. Szwarowski

Zbiory specjalne

CHRZCINY U WÓJTY

1861

WOLNO DRUKOWAĆ

WOLNO DRUKOWAĆ
pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po
wydrukowaniu prawem przepisanej liczby exemplarzy.
w Warszawie, dnia 19/30 Stycznia 1861 r.

Starszy Cenzor, Assesor Kollegialny
T. Hertz.



59705

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0000432

w Drukarni J. Tomaszewskiego.

K-367/76/59705

CHRZCINY U WÓJTY. (*)

Niedaleko Międzyrzeca i niedaleko Janowa, jest wieś duża, osadna, pod lasem zbudowana; i dobrze, bo ją ten las jak mur jaki od zachodnich wiatrów osłania. W tej wsi dzisiaj, dzięki Bogu, wszystko dobrze idzie: urodzaj ładny, bydło i konie i owce pasą się po zielonych łąkach; koło chatup chędogo, a nawet zobaczyć można że w niejednej naderzwiami, na małej półce, serki obsychają, a u wszystkich pod strzechami widać liście kapuszciane, i różne nasiona w pęczki powiązane, co znaczy, że gospodynie dbają, żeby im nie brakło nasion i liści pod chleb.

(*) W Lubelskim i Podlaskim, starszy we wsi włościanin, zwyczajnie nazywanym bywa Wójtem.

Och! dawniej przed kilkoma laty jeszcze był dzierzawca: różnie się w tej wsi zdarzało. Stary Wójt — Panie! świeć mu tam nad duszą — wielki był pijak, a takich jak on i więcej się znalazło. Bywało, jak przyjdzie niedziela albo jakie święto, to ni by zbierają się iść do kościoła, ale że droga koło karczmy, to nie jeden wstąpi, ot tak sobie, albo na półkwaterek;—ale gdzie tam! przyjdzie drugi, trzeci i dziesiąty, to ten temu kupi, a tamten tamtemu, a wszystko jeno po półkwatku, a jak ten każdego po trochu wypije, tak go już bierze ochota na więcej i dopiero się zaczyna pijatyka.—Bo to i baby za mężami poprzychodzą, poprynoszą co która ma, to jaj kilka, to kure, to choć lnu kilka garstek. I czasem bywało, że nietylko na Mszę świętą nie pójda, bo im do kościoła daleko, ale zamiast do domu na obiad wrócić, to siedzą do wieczora i tylko chleba wezmą i soli od szynkarki, i tak jak dziady posypią sól na stół, chleb w niej maczają, i wódką coraz popijają. Nie każda to taka była niedziela, to i to prawda, boby też nie starczyło i sił i zboża; i tak zawsze przednówek był ciężki, to

też tylko na przednówku szło się czasem do kościoła, nie wstępując do karczmy, bo szynkarz na kredyt nie chciał dawać.

Razu jednego, zdaje się że trzy lata temu, wielkie było nabożeństwo, wielki odpust w Janowie, i wszyscy ludzie z okolicznych wiosek tam się schodzili; poszli tedy i nasi, bo to czasem, choć kto nie nabożny, to idzie na odpust, żeby ludzi zobaczyć, cisnąć się, właśnie jakby jakie bydło, do kościoła, a potem do karczmy zejść się, i dopiero tam nietylko o odpuscie i kościele, ale o Panu Bogu zapomnieć. Otóż na ten odpust do Janowa, puscili się ze wszystkich stron ludzie, a za nimi i z naszej wioski. Ale tak jakos Pan Bóg dał jakby cudem, że na tym odpuscie inaczey wszystko poszło. Jakos jakby Duchem świętym tych księży natchnął co nauczali, że wszystkie ich słowa trafiły do serc wszystkich;—płacz był wielki, ludzie padali na kolana, przeprasza li Boga za swoją bezbożność i pijaństwo, i poprzyrzekali że odmienia swój żywot. I na prawdę tak zrobili, i tak im Pan Bóg dopomógł w ich zamiarach, że dotąd ani na kruszynę nie odstąpili od swego postano-

wienia;—tak że od tego czasu nikt w naszej wiosce ani widział, ani słyszał o pijanym człowieku. Jeden stary Wójt, Panie świec nad duszą jego, tak był do wódki nauczony, że tylko trzy dni nie pił, a potem ustawnie wołał że nie wytrzyma;—i jak poszedł do karczmy, tak mówią że od razu pół kwarty duszkiem wypił; wkrótce też potem zachorował, i choć mu pani dawała różne krople i proszki, nie mu nie pomogło; umarł, choć nie był bardzo jeszcze wiekowy.

Po nim został Wójtem Marcin Kościel, tego gospodarz: bywało na przednówku u nikogo nie ma chleba, a u niego jest zawsze; jeszcze i drugim pożyczka na odrodek.—Ale też on z dawien dawna wódki nie pijał, bo się zarzekł, od czasu jak miał przypadek, którego mi sam opowiadał, a ja go tu wam opiszę.

Przypadek Marcina Wójta.

Powiadał że jeszcze był młodym chłopakiem, kiedy służył u porządnego gospodarza. Razu jednego, przysłali ze dworu

żeby gospodarz jechał po piwo do Wisznie; bo gospodarz stary Klim, co do dziś dnia żyje, całą prawie pańszczyznę odbywał posyłkami, czy to po piwo, czy po wódkę na szynki, czy po cyrulika, czy po krawca, gdzie jeno było trzeba, to nie posyłali dworskich, tylko zawsze jego, bo był bardzo trzeźwy i sprawny człowiek. Otóż jak przysłali żeby Klim jechał po piwo, tak on mówi do żony: „jak ja pojedę, kiedym sobie tak stłukł nogę, że mi chodzić ciężko? A Marcin, ten Wójt dzisiejszy, na to:— „Pozwólcie mi gospodarzu, to ja pojedę.— „A jak się źle sprawisz? jak się nie upomnisz żeby piwo było świeże; jak się gdzie zagapisz i kobyła ci się wyprzeże, jak w niedzielę? Ale gdzie tam—odpowie Marcin:— już tylko się na mnie spuście, to przecie nie wielka rzecz; ja i piwo dobre przywiozę i rychło wrócę.

Gospodarz myśli sobie: niechaj jedzie; niech się wprawia do tych rzeczy, to mnie będzie wyręczał;— bo mi też już i nudno zawsze jeździć. Tak Marcin sam zaprzągnął wózek i pojechał. A gospodarz jeszcze wo-

łał za nim: „Uważaj! nie stawaj nigdzie; jedź równo żebyś kobyły nie zmęczył!

Marcin zajechał szczęśliwie do Wisznicy; upomniał się o dobre piwo; dobrze beczkę słomą obetkał na wózku, i wraca do domu. Aż koło murowanej karczmy spotyka nasze fury, które pszenicę do Międzyrzecza odwoziły, i któryś z parobków mówi do niego:—„A ty tu co robisz Marcinku?—On powiada że piwo wiezie. — „Zaczekaj, ot wstap, to razem pojedziemy; raźniej ci będzie przez las z nami jechać; chodź, chodź, wypijem po półkwaterek.—Jak to powiedział, tak poszedł do karczmy. Marcin tedy stanął, i wszystko myśli, czy ma iść za nim czy nie?—Sam mi powiadał i każdemu to powie, ktoby go się o to zapytał, że wyraźnie jakby dwa głosy słyszał, jak w nim mówiły; jeden mówi: jedź do domu, co ci po wódce? zostawisz piwo, jeszcze ci się jaka szkoda zrobi; zatrzymasz się dłużej, gospodarz będzie się turbował; jedź do domu. A na to znów drugi głos jakby mu odpowiadał: Et! co znów ma się złego zrobić, że wstąpisz na półkwaterek? Przecież tam do nocy siedzieć nie będziesz; co się ma z pi-

wem złego zrobić, że chwilę postoi na wózku? Ot, co tu stoi powózek żołnierskich z różnemi rzeczami, a dla tego stoją.—Idź, napij się, będzie ci raźniej wracać! I Marcin uwiązał lejce mocno do wózka i pobiegł do karczmy i myślał sobie: ja tu wnet przyjdę. — Aż w karczynie chłopci co wieźli żołnierskie bagaże kłócą się z żołnierzami. Chłopci mówią: „Wy zapłaćcie za wódkę,” a żołnierze znów sobie:—„że my nie pili tej wódki;—a szynkarka sobie krzyczy i wymyśla. Marcin woła na tamtego co go chciał częstować: „A co, gdzież ta wódka? Mamy się napić to się napijmy, bo mi się spieszy.—„Na co ci się tam spieszy! Przecie słonko wysoko. Jak tu dostać wódki, kiedy widzisz, że do szynkarki przystąpić nie można.”—I tak prawda była, iż tak chłopci z żołnierzami ją obstąpili, że trzeba było czekać. Marcin i wszyscy tymczasem przysłuchiwali się. Nareszcie jakoś nie długo, nie pamiętam jak, dość że się ucisz yli i wyszli wszyscy razem z karczmy. A Marcin pozostał, wypił półkwaterek, i słucha jak szynkarka opowiadać i wymyślać na tamtych zaczęła. Wzięła go ochota, za sześć

groszy które miał w kalitce, poczęstować tamtego co mu wódki kupił, i znów wypił półkwaterek, i powiedział, że mu się ten drugi tak smacznym wydał jak nigdy, i taka ochota go wzięła żeby jeszcze wypić, ale że nie miał pieniędzy, więc trudno. Aż jakby na pokusę, jeden gospodarz co tylko okazyi czekał, żeby się napić, (podobno to był ten stary Maciej, co to niedawno umarł, co to pastuchem był, bo nie na starość nie miał potém), otóż on powiada: Hej chłopcy! postawię wam półkwarty wódki dziś zaraz, żebyście jutro przyszli dożyć mi owsa. Jutro sobota: nie pójdziecie na pańskie;—żytom skończył dawno, a szkoda i owsa.—Jak to powiedział, tak jaki taki wysunął się, Marcin także, i zawołali:—„Dobrze, postawcież wódkę.”—Było zaś ich sześciu, jak mówił Marcin, wypiliśmy po kieliszku jak nic, — a jeden odzywa się: „Oj nie omłotny będzie owies, jak go lepiej nie podlejecie; cóż to te półkwarty? To ani znać!—Roześmiał się gospodarz, i kazał dać kwartę. Jakiesmy ją wypili, takim poczuł że mi w głowie gorąco, że cośbym gadał; a co zaczne; to mi się nie

klei.—Jednak pamiętałem; że to ja piwo wiozę;—więc spojrzalem w okno: a tu słonko już się schowało; tak mówię do nich:—„Oj czas już okrutny do domu.” Oni też się zmiarkowali i powiadają: „prawda że czas.” I zerwali się wszyscy. Kiedy ja wyjdę—powiada mi Wójt—przed karczme, aż tu ja patrzę, mojej kobyły nie ma, tylko wózek z beczką stoi!—a ona się wyprzęgła!—Nieszczęśliwa moja dola!—zawołałem—i tak mi się zrobiło, jakby kto na mnie konewkę zimnej wody wylał. Biegam koło karczmy, pytam, łamię ręce,—aż mi powiada dziad kulawy co tam się zawsze kręcił, że widział, jak do tych podwód co wieźli bagaże żołnierskie, przyczepiono luźną kobyłę myszată; ale chyba ona do nich należała, bo stała przy wozie i wyciągała z niej siano.

Jak to nasz Marcin usłyszał, tak powiada jakby nigdy nie pił wódki, tak wytrzymał; — domyślił się że kobyła wyprzęgła się i poszła siano wybierać, a oni też radzi że im w ręce wlaźła i zabrali ją. Tak dopiero Marcin ręce załamał,—a pytał gdzie pojechali;—bo tam dwie drogi rozchodzą

się. Dziad pokazał że do lasu;—Marcin zaczął się przyglądać i zobaczył że coś szarzeje pod lasem. Jak się kopnie, jak znacznie biedz; to powiada, że mu się zdawało jakby go wiatr popychał; a tylko Bogu różne przyrzeczenia czynił: to że da na Mszę S-tą, to że wódki pić nie będzie, byleby odzyskał kobyłę, bo bez niej, chyba się utopi. A tu oni jadą; co się mu zdaje że się przybliża już tuż, to oni zatną konie i znów się oddalą. Tak Marcin w ostatnim wysiłku jak poskoczy, tak się uczepił podwody, co na końcu kulawemi końmi jechała i wskoczył na nią; ale mówić nie mógł, bo mu krew gębą i nosem rzuciła się. Jakieś nie złe chłopisko jechał tą podwodą, bo żałował Marcina i pozwolił mu jechać i domyślił się że ta kobyła co przy furach stała, musiała być jego; więc choć mu Marcin nie mówił, on powiedział, że mu oddadzą; a jakby nie chcieli oddać, to może iść do starszego, do Wisznic. Już noc była jak Marcin kobyłę odebrał; nie chcieli z razu oddać, mówiąc że się wpiera; ale jeden z chłopów, który był trzeźwy zupełnie, jakiś porządny gospodarz, który ich z kar-

czmy do drogi wypędzał, zaczął na nich gadać i świadczyć, że sam jak wychodził z karczmy, widział że przy wózku kręciła się kobyła. Marcin Bogu podziękował, jak wsiadł już na nią; ale taka go niemoc ogarnęła, taka kolka w boku, że ledwo do karczmy dojechał, żeby zabrać piwo i do domu wracać.

Dopiero nadedniem dojechał do swęj wioski; w drodze, powiadał, że także jakby dwa głosy w nim rozmawiały: jeden poddawał mu różne wykrety, jakto mu kobyła uciekła, gdy na piwo czekać musiał; a drugi mu mówił: „Ot lepiej skłoń się do nóg gospodarzowi i powiedz prawdę i przyrzeknij że już raz ostatni; że jak ci da Bóg zdrowie, to cię już i czterema wołmi nikt do karczmy nie zaciągnie, jak co wieć będziesz. Tym razem Marcin posłuchał tego dobrego głosu, bo był już bardzo chory; a jak człowiek chory, to się zawsze boi więcej grzechu, bo sobie prędjéj o śmierci pomyśli i o sądzie Boskim. Powiada Marcin, że gospodarz strasznie się gniewał, bo aż przysyłali ze dworu dwa razy, czemu piwa nie ma; a on oka nie zamknął, tak się

bał czy jakiego przypadku nie było z kobyłą. Ale jak zobaczył że Marcin taki chory, tak już mu darował i mówił żonie żeby poszła dla niego po lekarstwo do dworu, bo on tak jak nieżywy, zaraz wróciwszy położył się i tchnąć nie mógł od kolki w boku; i gorączka go paliła, że jeno wodę pił. Cztery tygodnie leżał; Pani ze dworu sama do niego z proszkami chodziła; cyrulik bańki stawiał, krew puszczał, a on mało co czuł co się z nim działo, taką miał gorączkę. Pani mówiła że z tego prędkiego biegu dostał zapalenia płuc; to się znaczy, że mu na piersiach w środku, gdzie się oddycha, pryszcze porobiły i jakby ranki. Powiada, że już jak gorączka go ominęła, to nie miał sił tyle co dziecko, a kaszel go tak męczył, że prawie całą zimę chyrał; mało co mógł robić, i mówili że suchot dostał; aż dopiero na wiosnę, gospodyni, stara Klimowa, nie żałowała mu mleka, i on codziennie pił mleko; jak tylko krowę wydoiła, tak jemu zaraz naląła dzbanuszek, bo tak doktor, którego z panią był u niego, kazał robić.

— Cóż powiecie na to, że Marcin tak jak jest żyjący — możecie się jego zapytać — do dziś dnia dziękuje Bogu za ten swój straszny przypadek i chorobę; powiada — że gdyby mnie się wtedy udało, i upić się i kobyły nietracić i nie zachorować, to byłbym się wykręcił ztem się dłużej jak trzeba bawił, i byłbym zawsze tak robił, i tak zasmakował w gorzałce jak inni, i tak zmarniał jak inni. Ten stary, co to stawiał wtedy wódkę żeby poszli do niego na dorzynek owsa, to spadł z gospodarstwa, zbiedniał; żona poszła w służbę, a on pasł bydło; a jak umarł, to nie było nic całego żeby na niego włożyć, tylko same łachmany. — A ten co mnie pierwszy namówił, tego chłopak jak rydz, to w parę lat potem pobił się w karczmie okrutnie i gospodarz go odpędził; poszedł potem do dworu za parobka; tam też długo nie popasał, bo okulał konia; aż nareszcie do żołnierzy go wzięli i nie wiem gdzie się obraca. Gdy tymczasem ja po tej chorobie wódki w gębie nie miałem; jak się o tem mój gospodarz przekonał, tak mi już ufał, wszędzie posyłał, a w trzy lata potem dał mi swoją Nastusię, z którą dzięki Bogu do

dziś dnia żyję i dobrze się nam wiedzie.—
I prawda że się dobrze wiedzie' naszemu
Wójtowi. Jakie to u niego bydło! jakie owce!
On nie zna kożucha kupić, jeno swoje skóry
da wyprawić, i już ma kożuchy dla siebie,
i dla czeladzi, bo zawsze jój ma dosyć;—
trzyma dziewczkę, parobka i poganiacza.

Otóż to u tego Marcina Wójta były
chrzciny w przeszłym miesiącu, i tak się tam
ślicznie bawili, że do dziś dnia wspominają
wszyscy co tam byli. Wójtowi Pan Bóg
i na dzieciach pobłogosławił: ma ich już
pięcioro; chowają się zdrowo, bo też okrutnie
o nich dbają. Jak była przed kilkoma
laty na dzieci zaraza, taka wysypka co się
kur nazywa, to wiele dzieci na wsi pomarło,
bo im wódkę z miodem dawali; jedno
wytrzymało, a drugie dostało gorączki i
umarło. U Wójta dwoje dzieci małych leżało,
ale im tylko to dawał, co pani ze Dworu
kazała,—i wyzdrowiały. Dzisiaj kiedy w
naszej wsi już się wszyscy przekonali, że
wódka nie dobrego nie może zrobić, to
już dziś i takiego pomorku na dzieci nie
było.

Tak tedy jak się urodziła najmłodsza
córeczka Wójtowi tego roku, tak na niedziele,
w wigilją S-go Marcina, zaprosił na chrzciny
starego Klima, ojca swojej żony i innych
kilku gospodarzy i gospodyń. A że najstarsza
Wójta córka ma już lat piętnaście, więc i
dziewki się zeszły i kilku parobczaków,
aż ciasno było w chacie, choć izba u Wójta
największa z całej wsi, i komorę przerobił
sobie na alkierz. Zaprosił też w kumy Stacha
dworaka, bo bez niego żadna się dziś ochota
nie obejdzie; dawniej jakoś nie tak go lubili,
nazywali go pańskim pochlebnikiem, dla tego
że nie chciał się z nimi zadawać i na pijatyki
do karczmy chodzić, ale jak teraz i oni się
już tych rzeczy wyrzekli, to wszędzie Stach
być musi ze swoją kobietą; bo lubią że im
zawsze opowiada to co widział, czego się
nauczył, co słyszał. Bo Stach choć jeszcze
nie stary, dużo rzeczy widział i słyszał,
bo w różnych stronach i miastach bywał.
Trzeba najpierw żebyście wiedzieli dla
czego Stacha nazywali Dworakiem.

Historya Stacha.

Już temu lat trzydzieści, kiedy u nas w całym kraju bali się ludzie wszysey strasznej choroby *choléry*, która gdzieś tam bardzo daleko, podobno aż w tureckim kraju początek wzięła, a wojsko co tam niedaleko stało, przywiozło tę chorobę na Ruś,—wtedy jeszcze téj choroby w naszych stronach nie znali,—ale ludzie mówili, że kiedy ona jest już za Bugiem, tak niedaleko, to i do nas przyjdzie. I tak się stało, przyszła z za Buga cholera i wszystkie miasteczka i wsie na trakcie będące, któremi wojsko przechodziło, były rażone cholera. W Międzyrzeczu, w Wisznicach, była taka straszna, że tak ludzie marli, jakby muchy po jakiej truciźnie. Po miastach dalekich od traktu jeszcze cicho było, i ludziska jak mogli wystrzegali się żeby téj zarazy nie przynieść. We wsi naszej nie było jój wcale wtedy, dopiero później;—bo ona jak raz już przyszła do naszego kraju, tak odtąd zawsze od czasu do czasu pokazuje się.

Nie daleko naszej wsi, bo tylko o dwie mile w Wólce, był gospodarz Jakób, wcale porządny i uczciwy, tylko tę miał wadę, że strasznie po jarmarkach lubił jeździć. Bywało taniiej sprzeda ciele albo barana w mieście; drożej mu we dworze, albo żyd pakciarz daje; on nie: woli pojechać do miasta, bo tam zaraz spotka kogo, i poczęstuje się. Choć nie można powiedzieć żeby on był pijak: nie chodził on, nie przesiadywał w karczmie; tylko te nieszczęśliwe miasteczko, jarmarki go gubiły; że na przednówku zawsze mu chleba brakło i nie raz głód w chacie dokuczył.

Kiedy ta nieszczęsna cholera przyszła w okolice, wszysey ile możności wystrzegali się jeździć do miasteczek; Jakób także siedział jakiś czas cicho. Nareszcie raz jednego wybiera się na jarmark. Żona mu mówi: Ej daj pokój, to i w domu możesz ciele sprzedać, i za to kupić we dworze soli.—On na to: co ty mi gadasz; ja w mieście taniiej żyta kupię, a drożej ciele sprzedam. A cholera — mówi żona — jeszcze broń Boże do domu i do wsi przyniesiesz.—Już minęła cholera; żyda się py-

tałem, co jechał z Wisznic: to mówił że jój już tam nie ma, że jarmark będzie lepszy niż kiedy, bo się ludziska już nie będą bali.—Oj nie jedźcie tatulu—mówiła niewiastka; — nie jedźcie, powtarzał syn Ostap;—nie jedźcie dziadulu, wołał czepiając się sukmany czteroletni chłopiec, wnuk Jakóba. Ale on się uparł, bo słyszał że będzie dobry jarmark.

Włożył ciele na wóz, wziął worek na żyto, bo to właśnie był przednówek, obiecał małemu wnuczku przywieźć obwarzanek, żonę soli, i pojechał. Wieczór nadchodzi coś nie widać Jakóba. „Tak mnie coś we środku ściska, moja matko,—mówi niewiastka,—jakby jakieś nieszczęście dusza moja przeczuwała.—I mnie czegoś straszno,—odpowiedziała matka. Aż nareszcie przyjechał Jakób. Cieszcie się: jest i ćwiartka żyta, i sól i obwarzanek. Ale sam trochę napiły; bo choć nie był pijak, jak tylko się na jarmarku z kim spotkał, tak trzeźwy nie wrócił. Ledwie ogień zagasili w izbie,—aż Jakób zaczyna wołać: Oj dajcie mi gorącego popiołu, bo mnie boleści schwytają!—Ledwo zdążyli zaświe-

cić, aż tu on biedaczysko aż się pieni z boleści;—woła księdza, bo się domyślił że to cholera. O ja nieszczęśliwy!—wołał—jak mnie Bóg przebaczy, że ja wam zarazę przyniosłem!—Teraz wszyscy mówią, że ta cholera nie taka silna; ale wtedy w początkach to taka była okropna, że człowiek zaledwie miał czas i przytomność w pierś się uderzyć. Tak też było z biednym Jakóbem: nim ksiądz nadszedł, on już i mówić nie mógł, tylko na migi pokazywał; tak zdrętwiał. Ksiądz kazał go rozcierać; syn okrutnie ojca kochał, to tak płakał a rozcierał, a kobiety gorący popiół kładły, ale wszystko napróżno! Jak się we wsi dowiedzieli na co Jakób umarł, to aż bali się go chować; aż tu zaraz po pogrzebie na którego ksiądz napędził, rozchorował się syn i do wieczora już go nie było. Matka stara jak zaczęła zawodzić za nim, jeszcze go z chaty nie wynieśli, kiedy i jój nie stało! Razem tedy matkę z synem pochowano! Została się tylko niewiastka, która synka tuliła do siebie, płakała a prosiła Boga: jak mam iść za niemi, to niech moje

dziecko idzie za mną, żeby sierotą nie zostało!

Taki się strach rozszedł po wsi, że już nie zaglądali do Jakóbowej chaty; — tak że niewiastka mogła była umrzeć i nikt by nie wiedział; bo jak się w innych chatach pokazała cholera, tak i zapomnieli o biednej niewiastce Jakóba. — Ją też napadła cholera, ale jakby się na tamtych zmogła, nie mordowała ją tak silnie. Już to oczywiście Bóg ją chciał jeszcze zatrzymać, bo ona gorąco wołała do Boga, żeby się nad sierotą ulitował. — Powiadała że nie w chacie nie było, tylko woda z cebrem. — Ona tedy tylko tę wodę piła, tak ciągle że się jej zdawało że cały ceber wypiła. Chłopczyna płakał koło niej, a ona słysząc płacz jego wołała: kłęknij synku! złóż rączki, prosz Boga żeby ci mamę zostawił. — Chłopiec płakał i modlił się jak anioł, i matka wśród bólów jak mogła prosiła Boga o ratunek; i wysłuchał Bóg próśb matki i dziecka. Uspokoili się boleści; na drugi dzień już tylko osłabienie okrutne zostało, a tu chłopiec głodny, jeść płacze. Dobyła wszystkich sił biedna mat-

ka; wstała jak mogła, zobaczyła wspomniony obarzanek, połamała go, ognia rozpaliła, wody zagotowała, soli wsypała, i dała chłopczynie. Jak jej za parę dni choroba odeszła, dopiero ją wtedy okrutny żal ścisnąć począł. Została sierotą na cały świat! z małym chłopczyną! — zdawało się jej że to sen okropny, straszny; że ona się obudzi, że zobaczy męża i rodziców jego; a ona bardzo męża kochała. Upodobał ją sobie choć była sierota, bez wiana i z innej wsi, i tak się pokochali że jedno bez drugiego zdaje się żyć nie mogło.

Tak biedowała w pustej chacie przez dwa tygodnie Jakóbową niewiastka; a jak się ludziom pokazała, to myśleli że to wiedźma jaka, tak się zmieniła, tak zbladła. Nie mogła jeść, ani spać, bo za nią wszędzie tęschnota chodziła i kaźden kawałek chleba piołunem gorzkim jej się zdawał. Nareszcie powiedziała sobie: Już ja tu bez mego Stacha nie wyżyję i żadnej sobie rady nie dam; pójdę gdzie lepiej zarabiać; żniwo się zaczęło, to co zarobię, żeby mieć na zimę czém dziecko wyżywić; może w cudzych stronach nie tak mi ciężko będzie a

tutaj to mi się zdaje jakby on poszedł w pole, jakby miał wrócić; a on nie wraca! i nigdy nie wróci! Tak sobie mówiła, gorzko płacząc. Poszła potem do ekonoma powiedzieć że idzie, żeby jej świadectwo dał, i że już do tej chaty nie wróci, bo już nie ma do czego; bo woły dwa co są, to nie ich tylko zakładowe; tylko jedną krowę ma, to ją odda do sąsiadki, a dwór niech sobie kogo chce na tę chatę obsadza. I poszła Jakóbową niewiastką do naszej wsi na żniwo, a chłopczyk to szedł za nią; to jak go nogi zboleły, ona go dźwigać musiała. Z wielką trudnością z innymi bandochami dzień jeden żęła, bo tak siły jej ustawały i gorączka paliła we środku od czasu tej choroby, że jakby nie nauczona do żniwa, co raz spoczywała. Na drugi dzień do południa tylko żęła i zeszła z pola; a że jej mówili że we dworze naszym jest pani co lekarstwa daje, tak chciała do niej iść prosić, żeby jej co dała od takiej słabości. Tymczasem idąc łąką pod lasem, tak ją siły opadły, że się położyła pod pnem suchym, a chłopczyzna siadł koło niej i płakał, bo i żal mu matki było i głodny. Synku!

mówiła matka, złóż rączki, prosz Boga żeby cię tu samego nie zostawiła; żeby mi Bóg ratunek jaki zesłał. Chłopczyzna płakał i prosił Boga jak anioł, a matka sobie się modliła żeby przed nocą ratunek Bóg jej zesłał. I zesłał Pan Bóg ratunek. Ludzie zobaczyli że kobieta leży; posłyszeli płacz dziecka; dali znać do dworu, że jedna z najemnic ciężko zachorowała. Wtedy żyła jeszcze starsza pani, matka dziewczynki naszej; zaraz kazała konie założyć i przywieźć chorą kobietę na folwark. Tam była izba, co jak kto zachorował, to w niej leżał. Tam na tapczanie, na miękim sienniku, położyli chorą kobietę; zaraz przyszła pani i rozpytywać ją poczęła. A tak umiała kurować, tak się znała na każdej chorobie, że się z okolicy do niej zjeżdżali ludzie; a przytém była litościwa i miłosierna.

Jak tylko się pani dowiedziała że tak po cholery i po takich nieszczęściach choruje kobieta, tak pokiwała głową, bo to najczęściej jak kto wtedy nie umarł z cholery, tylko wyszedł z niej, to potem wpadł w tyfus, (tak się nazywa mocna gorączka), i musiał z niej umierać. Po kilka razy na

dzień chodziła pani do choréj, bo bardzo ją żałowała że taka młoda i dziecko ma małe; różne rzeczy jéj dawała, ale gorączka coraz mocniejsza ją brała, tak że bez pamięci gada, a wszystko wołała męża; to prosiła żeby go ratować bo umrze, to znów do ojca do matki odzywała się, jakby jeszcze żyli. To znów jak jéj trochę przytomność wracała, tak płakała nad dzieckiem w co się obróci! Pani, jak to postłyszła, powiedziała jéj: „Bądź spokojna moja kobieto! jeżeli ci Bóg nie dozwoli żyć, to ja ci przyrzekam że wezmę twego synka pod moją opiekę i że się będę starała żeby go na chwałę Boską i pożytek ludziom wychować; nie dam mu nigdy krzywdy zrobić. Nie płacz, kobieto! Bogu ufaj i mnie ufaj.” Jak te słowa usłyszała biedna matka, tak się aż zerwała na pościeli, złapała obiema rękami chłopczykę, któren siedział w nogach przy niej i zawołała: „Oddaję wam, miłościwa Pani, skarb mój, mego Stasia: nie dajcie mu krzywdy zrobić, a Bóg wam nagrodi.” — Pani ze łzami w oczach prosiła żeby się uspokoiła; chłopczykę zaczęła głaskać, tulić, bo też płakał

bardzo. Po takiém wysileniu zamilkła chora, padła jakby nieżywa na posłanie. Zaraz pani posłała po księdza. Po spowiedzi uspokoiła się i mówiła, że dziękuje Bogu że jéj opiekę dla dziecka zesłał i że jéj pozwala kończyć życie tak ciężkie, boby też sobie, wśród żalu i tęsknoty, już żadnej rady nie dała.

Jak umarła, tak pani kazała ją pochować, a chłopca wzięła do garderoby: tam była pani Lipnicka, co do dziś dzień żyje jeszcze, choć już się niczym nie trudni dla wieku. Wtedy jeszcze była nie stara i wszystkim rządziła. Otóż pani kazała dbać o chłopca sierotkę i sama co dzień do siebie wołała i sama pacierza uczyła. Stasiak z początku płakał w kącie za matką, bo nie było komu przytulić, popieścić; ale jak tylko pani Lipnicka widziała, to go zaraz zawołała, pogłaskała, pocałowała, a jemu łzej się zaraz zrobiło i przywiązał się do niej jak do drugiej matki.

Stasiak był posłuszny, miał dobre serce, nikomu się nie sprzeciwiał a okrutnie był ciekawy do nauki; to też jak pani starsza chorować zaczęła i do kościoła nie jeździła,

tylko kaplicę zrobili, tak Stasiak do Mszy świętej zawsze służył, choć taki był mały jeszcze, że ledwo książkę co się Mszał nazywa mógł unieść; raz aż się przewrócił z książką. Nauczył się prędko czytać i jakie tylko pani mu dawała książki, to on zawsze je wyczytał, i jak się pytała co w jakiej było, zawsze umiał powiedzieć.

Jak nieszczęście przyszło, że Bóg powołał do chwały swojej starszą panię, tak Stasiak okropnie żałował, płakał i za jej duszę modlił się. Młoda pani i pan widząc że on taką miał wdzięczność dla nieboszki, jeszcze lepiej go polubili i do usług go wzięli, bo już miał wtedy lat 13; a choć był także jeszcze bardzo młody, tak się dobrze lokajskiej służby nauczył, taki był pamiętny, dbały o pańskie rzeczy, że choć był stary lokaj, to jak pan gdzie jechał, czy na Litwę, czy w Krakowskie, czy gdzie niedaleko, to zawsze jego tylko z sobą brał.

A później jak już dorósł, to i do wód jak pani zaślubiła jeździł z panią. Razu jednego kiedy jeździł z panią w Krakowskie, tak pani wysiadła żeby się przejść, bo też tam nawet drogi wązkie po górach się pną,

to przyjemniej przejść się czasem — Otóż jak pani wysiadła i szła, tak mówi do Staska: „Mój Stasiu, jak wrócimy do domu, opowiadaj też ludziom we wsi naszej, jaki to tutaj porządek, jak lud pobożny, uczciwy, zamożny,—a wszystko z tego, że wódki nie piją, że umieją czytać, pisać; to jak przyjdzie święto, zamiast się bawić nieprzyzwoicie w karczmach, oni sobie czytają pożyteczne rzeczy.”

„Prawda pani — odpowiedział Stach. A jakie to duże okna u nich w izbach; to nie tak jak u nas, co choć pan kazał w nowych chałupach duże powycinać, to oni deskami pozabijali je do koła, i tylko w środku zostawili małe dziury, jakby w lisiąg jamie. — Ja sobie nie raz myślałem, że jak mi Bóg dopomóż i państwo, a pójdę na gospodarza, to będę miał duże okna; będzie w izbie widno, będzie i świeższe powietrze i będę mógł czytać i pisać.”

„Czy to ty myślisz iść na gospodarstwo mój Stasiu? To bardzo dobrze, że ci ta dworska służba głowy nie zawróciła; bo to najczęściej jak któregoś chłopaka pójdzie na lokaja, tak już mu się zdaje że on

co innego; z góry patrzy na chłopów i chce mu się być to pisarzem, to ekonomem, żeby koniecznie nad drugimi przewodzić. A czasem jak zbierze grosza, idzie na propinatora, co już najgorzej, bo w końcu zupełnie o Bogu zapomina, a tylko myśli jakby do siebie przyciągnąć, jak chłopów rozpoić. To też zawsze te propinatory źle kończą: sam się rozpije, dzieci idą w poniewierkę i taki zarobek. Gdyby zamiast takiego lekkiego chleba się chwytać, poszedłby napowrót do pług, to byłby zamożnym gospodarzem, szanowanym we wsi, i Pan Bóg by mu błogosławił, że od zwyczaju swoich ojców nie odstępuje. Bardzo dobrze myślisz mój poczciwy Stachu, że chcesz być rolnikiem; świata przejrzałeś, nauczyłeś się wiele, będziesz użyteczny we wsi. Teraz tylko pamiętaj wybrać sobie uczciwą dziewczynę za żonę, żeby i gospodyni była podobna do gospodarza."

Jak to pani powiedziała, tak Stasiak zczzerwieniał się, podrapał się w głowę, a korzystając ze sposobności, tak się odezwał:—„Żeby to Jaśnie Pani pozwoliła to

ja bym prosił o Parasie, tę co przy pokoju: to dobra, pracowita i porządna dziewczyna."

„Dobry masz gust mój Stasiu: to moja prawa ręka, bo Lipnicka się podstarzała; to Parasia i z kluczykami wszędzie chodzi. Cóż robić, jaby jej nie bronila; ale ty chyba nie wiesz, że to kucharz się do niej zaleca; mówiła mi Lipnicka, że ma mnie o nią prosić; może ona wołałaby być panią kucharczową i na ordynaryi siedzieć i w salopie chodzić, jak wiejską gospodynią. Ja jej na to zameżcie namawiać nie będę, lubo wołałabym, żeby poszła za gospodarza; ale trudno, nie wiadomo którego z was zechce."

Usłyszawszy to Stasiak, bardzo posmutniał, bo Parasia w oko i w serce mu wpadła; bo też to była ładna, żwawa i roztropna dziewczyna; umiała i różne roboty i czytać. A jakie pjełka bułeczki! to kucharz tak nigdy nie dogodził. Chociaż Staškowi się zdawało, że Parasia też nie złem okiem na niego patrzyła, że też się nie gniewała kiedy jej gadał, że najśliczniejsza z całej wsi, to myślał sobie: oj! źle, kiedy znać

i kucharza słuca, to już przepadło! nie będzie z téj mąki chleba! I tylko Boga prosił, żeby prędko do domu wrócić, żeby się zapewnił czy ona już tam do kucharza ze wszystkiém przyłgnęła.

Długo płynęły dnie Stachowi; choć nie był pewnym swego, — jednak kupował w Krakowie różne rzeczy dla Parasi i myślał sobie: jak nie dla niéj, to pierwszej ubogiej dziewczynie oddam. Kupił sobie także parę książeczek ciekawych, gdzie różne były opisanja tego co się dawniej w kraju naszym działo i myślał sobie: jak to wieczorem zejdą się do pani Lipnickiej, to i on przyjdzie i czytać będzie, a Parasia z kołowrotkiem brzęczyć i sprzeciwiać mu się będzie.

Wrócili nareszcie do domu. Jak tylko rozpakowali rzeczy, tak Stasiék zaraz do pani Lipnickiej biegnie i pyta, czy już Parasia kucharzowi przyrzekła?—Ledwie że to wymówił, wbiega Parasia i zarumieniła się i powiedziała:—„Jak się macie panie Stanisławie? dobrzeście się tam bawili? teraz wam tu skuczno będzie.” Stasiék miał coś odpowiedzieć, ale pan go zawołał,

Parasia poszła do pani, i tak Stasiék położył się spać nie wiedząc co go spotka, i aż nie mógł zasnąć. Tak już rano wstaje, żeby zaraz pani Lipnickiej się spytać, bo ona — myśli sobie — prawdę mi powie. I spotkał ją jak wychodziła, i pyta: „Czy już Parasia będzie panią Kucharzową?—„Ale gdzie tam! nie chciała go. On też obrócił się do panny Maryanny córki gorzelnianego, i ma prosić państwa, żeby go wzięli na ordynarya, bo się chce żenić z nią w zapusty.”

Stachowi aż się widno w oczach zrobiło, jak to usłyszał; pocałował w rękę panią Lipnickę, pobiegł do swego kufierka, wyjął śliczny perkal w kwiaty na spódnice, wyjął chustkę, fartuszek i inne drobiazgi co pokupował, i pospieszył do garderoby nim państwo wstaną, żeby Parasię zobaczyć. Znow się Parasia zaczerwieniła jak jéj takie piękne rzeczy przywiózł.— „Toście o mnie pamiętali?”—zapytała.— „O kimżebym ja myślał jak nie o tobie, moja ty gołębiczko śliczna! — Jak pani powiedziała, że ty może będziesz wołała

zostać panią kucharzową, niż gospodynią wiejską, to aż mnie coś w duszy bolało.”

„Gdzie tam—odpowiedziała Parasia.— Mnie aż pachną wiejskie roboty; tego lata jak było żniwo, prosiłam pani Lipnickiej, i poszłyśmy z Nastusią i Taćką; to tak sierp aż mi warczał w rękę, tak nim wywijałam. Och, ja tylko wiejskie roboty lubię i wiejskie ubranie; jabym w salopie i sukni nie chciała chodzić. — Dziś sobie kucharz bierze pannę Maryannę.”

Po takiej rozmowie uradowany Stasiak, w kilka dni prosił państwa o Parasię. Musieli czekać jeszcze z pół roku na wesele, ażeby przez ten czas Taćka, niedawno do dworu wzięta, córka gumienego, wprawiała się do takich usług jak Parasia. Dopiero jak już ten czas przyszedł, wesele było ładne; pani sama Parasię ubrała w wianek, warkocze i wstążki, i ślicznie jej było. Stasiak zrzucił surdut i wszystkie pańskie stroje; jak wsadził na siebie nową cienką sukmanę, czapkę z siwym baranem, chustkę białą na szyję a niebieską kamizelkę, to tak ślicznie wyglądał, że go się napatrzeć nie można było.—Ale

cóż, we trzy dni po weselu, znów musiał przywdziać dworskie stroje.—Państwo jeszcze sobie nie upatryli służącego, takiego wiernego, zręcznego jak on, i musiał jeszcze więcej jak rok być na ordynaryi, co mu też na bardzo dobre wyszło.—Pan też przez ten czas na pustce Frankowój kazał pobudować chałupę, a pani uprosiła żeby była izba z alkierzem, żeby jej ulubioniej Parasi było wygodno i nie ciasno. Stasiak sobie zasadził ogródek, bo to taki był starowny chłopak, że jak jeździł do Warszawy z panem, jeszcze przed weselem, tak pan posłał go po zrazy—to od jabłek to od wiśni.—A że on już nie raz u tego ogrodnika, którego się Unruh nazywa, kupował dla państwa różne nasiona, kwiaty, zrazy, tak mu ogrodnik daje parę złotych na piwo. On skłonił się, podziękował i odsunął pieniądze i powiedział:— „Ja się żenić będę; idę na gospodarza, to kiedy pan łaskaw, niech mi lepiej da jakich zrazów gruszek, jabłek, to będę miał pamiątkę.” Ogrodnikowi tak się to podobało, że mu dał i nasion i zrazów, a on upatrył sobie dzikie płonki, pozaszczepi-

pieł na nich, ogrodził, żeby mu bydło nie popsuło i na jesień poprzesażał. A wiadać za to że on był taki wierny, pracowity, pobożny, to mu tak Bóg na wszystkim dopomagał. I tak u Franka, co to ze wsi poszedł, była młoda kobyłka, za ledwie lat dwa mająca; już ją Franek zaprzęgał, aż żal było patrzyć; zdawało mu się że się nią dorobi, a to prawdziwie ten sobie źle życzy, kto tak młode szkapinę do zaprzęgu bierze: bo to wyraźnie sił nie ma i zmarnieje; tak też byłoby i u Franka. Staśkowi żal się zrobiło chudziny; kupił kobyłkę, za którą żyd już i czterech rubli dać nie chciał, bo tak już była zmizerowana, że ledwo łąziła.—Jak ją Stasiak kupił, tak prosił pana żeby mu pozwolił w stadzie ją trzymać; pan pozwolił. Jak tak przez parę lat chodziła luźnie na trawie, wyżełzowała, tak potem się rozrosła, żeby jej nikt nie poznał; śliczne mu przyprowadziła źrebę, które pan także pozwolił mu chować, i właśnie jak Stach szedł na gospodarstwo, już miał swoich parę koni. Parasia też miała śliczne dwie krowy; dość że na niczem im nie zbywało. Pani dała im śli-

czne dwa obrazy Pana Jezusa na krzyżu i Matki Boskiej. Jak tylko im chałupę skończyli, a państwo dostali tego Bazylego, co do dziś dnia u nich służy na ordynaryi, bo żonaty,—tak Stasiak wyprowadził się, ślicznie wszystko sobie poładował w izbie, że tak u niego było czysto, widno, jak w jakim dworskim pokoju.

Ludzie to najczęściej tak właśnie jak sroki, co mówią, że jak która między nimi wyrodi się zupełnie biała, to wszystkie na nią kraczą, bo zwyczajnie są ptaki bezrozumne; ale ludzie przecież mają rozum, a jak kto trochę inaczej jak oni wygląda, tak także na niego kraczą, nim się oswoją.—Tak też to było ze Staśkiem: wtedy oni jeszcze lubili w karczynie przesiadywać, a Staśka że tam nikt nie widział, więc *panem Dworakiem* go przezwali.—Jaki taki brudno chodzi, w połachanej sukmanie, w szarą koszuli, a na Staśku koszula biała jak śnieg, zawsze chustka na szyi, kamizelka, sukmana czysta, but czarny; więc go *panem Aligantem* nazywali. U innych na przednówku brak, bieda; u Staśka nie brakło zboża, a że mieli i krowy i ulów

sobie parę kupił, więc jak to mówią, nie łaknął ni mleka ni miodu; chociaż jaki taki pożyczął u niego zboża, nazywali go *panem Bogaczem*.—Stasiek nie zważał na to i żył po swojemu. Nie wszyscy też jak bezrozumne sroki krakali na niego. Marcin Wójt, stary Klim i dwóch innych bardzo go uważali, i wybrali go na starszego Radnego. Dzięki Bogu, jak się we wsi odmieniło, jak się ludzie nawrócili i pić przestali, tak Staśka inaczej zaczęli uważać: poznali że jak oni dzisiaj, tak on dawno żył—i już przestali go przez drwiny nazywać *panem Dworakiem*, tylko Stachem dworakiem; już tego tytułu mu nie odebrali, bo dla tego że on wiele wiedział, we dworze się chował, zawsze im coś opowiadał, więc już na zawsze dworakiem został. Ale tak go lubili, że w każde święto jak się zeszli, Stach musiał się znajdować, czy to obchodzono chrzciny—czy też wesele.

Otóż i teraz do Wójta, Stacha w kumy zaprosili. Dziecko urodziło się kilka dni pierwój, ale że to święto świętego Marcina, Wójtowa trzy gęsi przygotowała żeby

je upiec, bo Stach powiedział, że u państwa na święty Marcin jak jedzą gęś, tak patrzą na kość od piersi, czy tęga będzie zima; więc chrzciny odciągnęli do świętego Marcina. Zabili wieprzka i narobili kiszek i kielbas, i to się bardzo dobrze złożyło, bo Wójtowi było Marcin na imię.

Wójt kupił u Propinatora całą beczkę piwa; Stach nauczył go robić miodu, bo Wójt miał pasiekę, a Stach się przypatrzył jak we dworze miód robili i co rok u siebie robił, a to takim sposobem: wziął ile miał patoki, np. kwartę, i nalał na nią trzy kwarty wody, i gotował a mieszał często żeby się nie przypalił, a raz wraz szumowiny zbierał. Jak przestało już szumować, tak wziął pół kwarty chmielu, wsypał w woreczek, do tego dołożył pomarańczowych skórek, troszkę gwoździków i fijałkowego korzenia; to go kosztowało kilkanaście groszy, i dopiero znów gotował w dużym garnku; jak się trochę tak na palec wygotowało, tak potem zlał w małą baryłkę. Jak tak powstało w ciepłej komorze i wyrobiło, tak potem zlał w butelki, i miał czasem na wypadek, jak mu się kto zda-

rzył, co go trzeba poczęstować.—Otóż u Wójta był właśnie to taki miód.

Po chrzcie świętym, wszyscy się zeszli; Paraska pomagała Ulce, młodziej córce Wójtowej, pozostawiać wszystko. — Więc jak przyszli, tak zastali wszystko gotowe. Stały trzy gęsi pachnące z cebulką w talarki usmarzoną w smalcu, miska z kiełbasami, druga z kiszkami a trzecia z pierogami ze serem; — dalej chleb żytny, i bułki, które Paraska upiekła i przyniosła Wójtowi; — stały dwa gąsiorki z miodem i dzbanki z piwem.—Zgoła było wszystkiego suto. Jak sobie podjedli i napili się dowoli, tak obsiedli około komina, na którym łuczywo się jasno paliło, i zaczęli to o tém to o owem gwarzyć.

„Boże święty! ozwał się Bazyl stary gospodarz, jednak to świat się na lepsze obraca.—Bywało za nieboszczyka Wójta, to pamiętam jakieśmy się zeszli, to dalipan zabrakło chleba na zakąski po wódce; — jedna tylko wódka była. U nikogo wtedy ani pieroga z serem, ani gęsi, ani kiełbas nie zobaczyłeś; dalipan, bo zkąd miało

być, kiedy baby do karczmy i jajka, i nie tylko gęś, ale każde kureczkę wyniosły.

„Na co miały nosić, przerwała śmiejąc się wójtowa, która jeszcze na tapczanie leżała, kiedy pakciarka z wódką sama chodziła od chałupy do chałupy, a wybierała wszystko.—To pamiętam jak mój się rozgniewał, kiedy do naszej idzie i tak drzwi powoli uchyla i pyta: No! a czy jest gospodynia? Ale mój jak zobaczył że ona ma coś pod tołubem, jak krzyknie na nią:—Poszła żydowico ztąd! jak trzaśnie drzwiami, tak żydówka aż pantofel za progiem zostawiła tak uciekała. — A zaraz nazajutrz poszedł do pana i naskarzył że ona tak machluje i tumani baby i wykupuje, że nawet jak potrzeba do dworu czy jaj, czy kur, choć we dworze drożej płacą jak ona co upoi i potem zszachruje, to dostać już nie można; tak też i odprawił pan tamtego pakciarza. To mój taki kontent był, bo on okrutnie żydów nie lubi.”

„Nie prawda, przerwał Wójt, ja wiem przecie że i żyd bliżny: czego ja mam go nie lubić jak on uczciwy? Ja tylko nie lubię szachrajów, próżniaków; ot jaki terażniej-

szy pakciarz, jaki choć żyd, uczeiwy, a jak czysto koło mleka tam żydówki chodzą; a jakie robocze. On zamiast szachrować to sam na ogrodzie kopie; żydówki pieła, zgoła pracują, to ja takich żydów lubię.”

Kiedy tak rozmawiali, otworzyły się drzwi i wszedł młody z czarnemi wąsami dworski, około trzydziestu lat mający.

„Jesteś i ty tu Litwinie!—zawołał Stach i poskoczył do niego, czemuś tak późno przyszedł?”

„Bośmy jeździli i tylko co wrócili z Wólki;—odpowiedział Fiedor, furman brata stryjecznego dziedzica, który na Litwie mieszkał i czasem przyjeżdżał do krewnych.—Lubili się ze Stachem, bo on także tam jeździł z panem. — I znowu ze świeżo przybyłym zaczęli to o tém to o owém rozmawiać, a najwięcej o urodzajach. Tak Fiedor powiada, że u nich daleko piękniejsze, a to dla tego, że u nich lepiej orzą, lepiej uprawiają ziemię.

A Stach na to: „Każda liszka swój ogon chwali. Jak wy Litwini możecie się chwalić że co lepiej od nas robicie, kiedy przecie

my was rozumu uczyli; to przecie święta prawda.” I zaśmiał się.

„Ot patrzajcie, a to z kąd znowu! Jaki to z ciebie dumny koroniarz! Czy to na Litwie nie było rozumu, tylkoście go z kąd posłali?” I także się zaśmiał.

„Długoby było o tém gadać, odparł Stach; ale żebym chciał tobym cię przekonał i opowiedział jak to było, bo tę rzecz wiem doskonale.”

A ponieważ oprócz Stacha insi nie bardzo lubili Fiedora za to że się lubił przechwalać,—tak zaczęli nalegać na Stacha żeby im opowiedział jak to było, że my Litwinów rozumu uczyli.

„A kiedy chcecie to wam powiem; ale to święta prawda, nie żaden żart: to ja czytałem w prawdziwej książce, gdzie pisana historia, to jest wszystko co się w kraju naszym robiło.—Otóż powiem wam, że kiedyś, już bardzo dawno, że może jeszcze żadnej chaty we wsi naszej nie było, choć widzicie że niektóre już w ziemię powłaziły, — Litwini nie wierzyli ani w Boga, ani w Matkę Najświętszą, ani w świętych Pańskich...”

„Co mówicie? przerwała Wójtowa; czyż oni dawniej byli Niemcy?

„Nie byli Niemcami, ale byli poganami, co jeszcze gorzej: bo Niemcy choć w Pana Boga wierzą, a oni tylko sobie robili bałwany z drzewa, i im się kłaniali; albo sobie obrali w lesie węże i te węże uważali za świętość, kłaniali się im, karmili, hodowali.”

„Bajesz Stasiu! bajesz;—odezwał się Fiedor;—w naszym siele tyle jest starych bajtków co to pamiętają najdawniejsze rzeczy; to różne czasy rozpowiadają, a tego nigdy nie słyszałem. Owszem taki u nas lud pobożny, że pobożniejszy niż tutaj.”

„To prawda że teraz święta Żmudź i Litwa pobożna; do Ostrój bramy, do kościoła w Wilnie, ślicznym mieście, schodzą się zewsząd ludzie, i można powiedzieć że tam więcej dziś jak u nas pobożnych.— Ale dawniej tak nie było, i choć tego Fiedorku nie słyszałeś, bo tamci ludzie już się w popiół obrócili co wtedy żyli,— ale ja ci powiadam, że co tylko się kiedy gdzie na tym świecie robiło, jacy gdzie

królowie panowali, to wszystko to w książkach piszą, i takie książki nazywają historią. Otóż w historii stoi, że w Litwie panował książę, nazywał się Jagiełło i także był taki poganin, jak cały lud jego. Tak jemu się bardzo podobała nasza sliczna i dobra jak anioł Królowa; nazywała się Jadwiga. Ta Królowa była jeszcze bardzo młoda, ale jej dziadek był kiedyś Królem Polskim, bardzo dobrym, tak że go nazywali Królem chłopów; tak tę młodą wnuczkę Kazimierza Wielkiego, Króla chłopów, wybrali sobie Polacy na Królowę, bo byli pewni że taka dobra będzie jak i dziadek. I nie omylili się: piękna Królowa, jak raz przysięgła że będzie Matką dla narodu, tak i nią była; i jak Matka dla dzieci tak ona wszystkie ofiary ze swojej osoby dla szczęścia narodu robiła. — Po całym świecie rozeszła się sława jej piękności, a że była Królową Polską, a Polska była wielkim Państwem, tak się zewsząd cisnęli Książęta prosić o rękę Królowej. Otóż i Jagiełło pomyślał sobie, że dobrzeby z Polską się połączyć i taką piękną Królowę wziąć za żonę, i przyjechał do Krakowa, bo dawniej

jak byli Królowie Polsey, to w Krakowie śliczny zamek na górze nad Wisłą mieli i tam mieszkali. Jak przyjechał twój Książę mój Fiedoreciu, tak taki był brzydki a cały zarosły, że młoda Królowa aż się przestraszyła; a on tak się w nią rozkochał że powiedział, iż co tylko ona zechce, to on zrobi, żeby tylko poszła za niego. Ale młodziutka Królowa nie mogła się do niego przekonać, tem bardziej że jeden młody Książę, śliczny jak ona, kochał ją dawno i ona go kochała....”

„Czemuż nie poszła za niego?—przerwała młoda Ulka.—Kiedy była Królową to i któżby jęj bronił. Przecież Królowa może robić co chce.”

„Widzisz moje dziecko—mówił dalej Stach—że nasza piękna Królowa nie robiła coby jęj dobre i przyjemne było, jeno to co Bogu i narodowi się podobało; i jak powiedzieli jęj, że Jagiełło, ten Pan dzikięj Litwy, dla jęj miłości z całym ludem swoim nawróci się na wiarę naszą polską; że przyjmie chrzest święty, tak ona choć młodziutka była, już nie myślała o swoim szczęściu, tylko o chwale Boskięj, tylko

o szczęściu tylu ludzi, co prawdziwego Boga poznają; i wyrzekła się pięknego i młodego księcia, a poszła za brzydkiego Jagiełłę.”

„Och biedna królowa! mój Boże!—zawołała Ulka.—Och! biedna!—powtórzyły inne za nią dziewczęta.

„Nie nazywaj ją biedną:—ozwał się Stach—jęj Bóg dał takie siły, takie serce, że ona choć płakała za pięknym królewiczem, to się umiała zaraz pocieszyć tém, że tyle ludzi uszczęśliwi, i tak się zaraz zajęła nimi jak własnymi dziećmi. Zaraz sama z sędziwemi księżami pojechała do Litwy; jak tam zaczęła prosić, namawiać, tak Litwini patrzają, że to jakby anioł jaki z Nieba;—tak się ponawracali. Ochrzcili ich wszystkich; tak gromadami chrzcili ich, boby nie stało księży, żeby po jednemu chcieli chrzczyć. A Jagiełło jak się ochrzcił i ożenił, tak się tak odmienił, żeby go nie poznał: już nie był taki dziki, jeno tak się wyedukował, że umiał nietylko Litwą, ale i Polską całą rządzić po śmierci królowej.

„To ona prędko umarła?”—zapytała Wójtowa.

„Och na nieszczęście, nieboraczka młodziuchna jeszcze była, jak umarła, to jest jak poszła do Nieba; bo ona pewno do Nieba poszła:—taka dobra, miłosierna, przystępna była; a tak ją wszyscy kochali, że jak się raz znalazł taki zły człowiek (bo zły człowiek znajdzie się zawsze), więc jak się raz znalazł taki co na królowę coś złego powiedział, to choć był wielki pan, musiał publicznie na zgromadzeniu senatorów, wielkich panów, wleźć pod ławę i jak pies odszczekiwać.”

„Czyż może być żeby szczekał?” zapytali śmiejąc się chłopaki.

„Tak było, —odpowiedział Stach—bo takie było polskie prawo wtedy, że kiedy kto na kogo różne krzywdzące rzeczy gadał, a to była nie prawda, to musiał jak pies odszczekiwać.”

„Oj! dobrze, żeby i teraz takie prawo było, toby się bali tych różnych plotek i bajek rozpuszczać i krzywdę ludziom robić”—ozwał się stary Jakób.

„Jak to musiał cały naród i król płakać, jak umarła taka piękna i dobra kró-

lowa, czy choć zostawiła dzieci po sobie?” zapytała Wójtowa.

„Nie zostawiła, bo tylko jedno urodziła nieżywe, i przy niem umarła. Król okrutnie jój żałował, ale potem ożenił się z drugą, też polskiego pana córką, i panował długo, i dzieci jego i wnuki panowali szczęśliwie razem nad Polską i Litwą; bo te dwa kraje jak się razem złączyły, tak się kochały, jak dwaj rodzeni bracia, jak też i teraz Litwin z Polakiem się kocha. Nieprawda Fiedorciu?” To mówiąc Stach porwał za szyję Fiedora i uściskał.—Jakem był na Litwie, tak mi się tam podobało, tak mnie ludziska polubili, tak mnie do siebie zapraszali, a wypytywali się to o to, to o owo, że mi aż żal było wyjeżdżać; a powiem prawdę, że gdyby nie Parasia, to bym się był chyba z Litwinką ożenił, taka była gładka dziewczyna, a układna jakby jaka koteczka. To prawda że Litwini okrutnie lubili koroniarzów: tak nas nazywają. Oni czują, że ich nasza święta Królowa i cała Polska za własne dzieci przyjęła; ale też i my ich lubimy.—Jak tylko przyjedzie krewny pański, to

pan już woła z radością na niego *Litwos geros*, i cieszą się tak ze sobą.”

„Już to Litwinów to i ja lubię;—ozwał się stary Jakób—ale Mazurów to okrutnie nie lubię: tak mi przeciwna czegoś ich mowa i wszystko; jak poprzyjeżdżają tu czasem z czem do siostry naszej pani z za Warszawy, to aż mi ciężko ich słuchać.”

„Ej co znowu mówicie!—odezwał się Stach.—Tak się wam tylko zdaje, boście się do ich mowy nie przyzwyczaili; ale czyż można ich nie lubić? Toż oni ani Niemcy, ani tam inni, tylko swoi; a jacy oni zwinni, weseli, jacy pracowici, to aż miło! Znam ich dobrze, bom tam też bywałem.—Z początku to z ukosa na nas patrzyli; nie tak na mnie jak na Felka furmana, kiedyśmy tam pierwszy raz z panią pojechali. Otóż raz na folwarku, jak dziś pamiętam, jakoś po kolacyi zaczęli przymawiać rusinom; Felek zaczął się gniewać i o mało do bójki nie przyszło, bo Mazur to tak łatwo do kulaka stanie jakby nic. Tak ja dopiero jak nie wsiadę na nich: a co wy *myślita* sobie, powiedziałem, że my tak nie *mówiema* jak wy, to *myślita*, że my

jakie inne ludzie, czy co? Żebyśmy byli inni ludzie, to ani my was, ani wy nas nie moglibyście zrozumieć; a kiedy my się rozumieemy, kiedy się w jednym kościele modlimy i w jednaki sposób, kiedy nas jedna ziemia rodzi, to nie powinniśmy się rozdzielać, jeno jak bracia kochać. Jakim im tak nagadał, na prawdę nie z mojej głowy, jeno mnie tak nieboszczka starsza pani nauczyła i tak mi wszystko tłumaczyła, a ja to sobie wszystko do rozumu i do pamięci brałem,—więc jak im tak zacząłem gadać, tak oni się zawstydzili i takież mnie lubili. A żebyście wiedzieli jak to tam w Krakowskiem tegie chłopaki, jak to ślicznie ubrane, jakie do tańców ochoeze! Jak to tam wsie porządne, to aż się serce raduje; jak pójdziesz do kościoła, tak nie zobaczysz żeby się tak rozglądali po ścianach, tylko wszyscy ślicznie na książkach się modlą.—A w Krzeszowicach, w Krowodrze, w Łobzowie, to są chłopci co szkoły pokończyli i mimo to wrócili się na wieś i są gospodarzami; a jakimi dobrymi gospodarzami! Jak ja się temu przypatrzyłem, jakem tam pierwszy raz z pa-

nem był, cośmy tam po sukcesyę jeździli, tak sobie powiedziałem: —Ja także pójdę sobie na gospodarza—i poszedłem.

„Czy Kraków duże miasto? czy piękniejsze od Warszawy?” —zapytała Wójtowa.”

„O śliczne miasto, duże, tylko jakoś nie tyle w niem ludzi jak w Warszawie; może nawet mniejsze, ale że tam są takie kościoły jakich w Warszawie nie znajdzie i taki pałac co się zowie Zamek Królów, jakiego w całej Polsce nie ma; bo też dawniej tam wszyscy Królowie sobie mieszkali. Teraz tam tylko groby ich są i portrety; co to za bogate śliczne groby, co to za trumny z onych marmurów, kamieni! to jak tam człek pójdzie na ten Krakowski Zamek, toby tam miał na cały dzień co oglądać; aż wyjść się nie chce: czegoś tak i miło i razem tak smutno człowiekowi, że aż się serce ściska jak na to patrzy.—A tam w tym wielkim Zamku, gdzie i kościół, jest w zakrystyi skarbiec: co tam cudnych rzeczy, jakie tam bogactwa, jakie tam relikwije! Ja tam nie raz byłem i oglądałem wszystko, to z panią,

to z panem, to raz zebraliśmy się w kilku i sami poszli, żeby jeszcze się napatrzeć, bo toby człek nie spamiętał wszystkiego. Otóż tam widziałem ornat samemi perłami wyszywany, co go haftowała ta nasza śliczna, święta Królowa, co to Litwinów nawróciła: mój Boże, co to za praca!”

„Alboż by to sama Królowa jego haftowała? Czyżby Królowej chciało się pracować?” ozwała się Ulka.

„Niby to nasza Królowa nie wiedziała, że Bóg każdemu człekowi pracować każe;—odpowiedział Stach,—i ty sobie myślisz, że dla tego że Królowa, to już jeno siedziała i ręce założyła: toczy się jój znudziło.—Piszą o niej że bardzo była pracowita; niejeden ornat na chwałę Bożą wyszyła i nie jedną chorągiew dla swego wojska własnymi rękami wyhaftowała. Widziałem także w tym skarbcu pałasz tego księcia Józefa, co to wasz ojciec kumie o nim mówił, że taki był odważny.”

„O! pamiętam wszystko co mi nie raz ojciec o nim gadał—odpowiedział Wójt.—Pamiętam jak bywało mówił: Czemu to lepiej mego ślicznego Księcia nie postavili

na koniu w Warszawie, zamiast tego starego Króla co tam stoi.”

„Ale bo to widzicie, odpowiedział Stach, dla tego postawili starego Króla Zygmonta w Warszawie, że on dopiero przeniósł z Krakowa do Warszawy stolicę. On już nie siedział w Krakowie, tylko w Warszawie, a po nim inni Królowie;—więc to naturalnie miasto podniosło, z bogaciło, i dla tego przez wdzięczność postawili mu figurę.

„To musiał być wielki Król?”—zapytał Felek zalecający się do Ulki.

„Nie był on nic osobliwego; odrzekł Stach—byli daleko rozumniejsi i więksi.—Już to ja, to najlepiej lubię czytać o Królu Janie Sobieskim, tym co to w Łazienkach na moście stoi.—Felek był tyle razy w Warszawie, to go pewno widział; a może i nie jeden z was go widział także: jak to ślicznie na dużym koniu siedzi, jakby właśnie wybierał się jeszcze do bójki.”

„Przypatrywałem mu się, odpowiedział Felek, jeno nie miał mi kto powiedzieć co to za Król; to jest ja wiedziałem że to nasz Król, jeno nie wiedziałem dla czego jego postawili? Powiedzcie mi Stachu, co

to on zrobił takiego? bo przecie myślałem sobie: tyle było Królów, a tylko jego jednego tak wspaniale postawili.”

„Bo to był wielki wojownik; i tak jak raz była bieda koło Niemców, że Turcy by ich byli jak muchy wygnietli, a potem byliby może i do nas przyszli i do innych krajów, gdyby nie on. W Austrii jest duże bardzo miasto, Wiedeń, gdzie ja raz byłem z panią: to stolica niemiecka, to jest austryjacka;—otóż ten Wiedeń już raz byli Turcy naszli; tak tu gwałt straszny; nie wiedzą Niemcy co robić!—dopiero proszą Króla Polskiego żeby im w pomoc przyszedł. Tak Król Jan III Sobieski, zwołał wojsko i powiada mu: że trzeba nam iść bronić Niemców, bo to chrześcijanie katolicy, a Turcy poganie ze wszystkim ich zgubią; trzeba nam bronić wiary Chrystusa Pana; trzeba nam ratować naszych bliźnich w nieszczęściu. Wojsko jak zacznie krzyczeć: Niech żyje Król! niech nas prowadzi na wojnę! gotowiśmy krew przelewać za wiarę świętą i w obronie nieszczęśliwych...” „Pozwólcie kumie że wam przerwę—ozwała się Wójtowa. — Cóż wy

mówicie że za wiarę się bili, a Niemców bronili? Przecie Niemcy, to niedowiarki."

„Ale wiedzcie — odpowiedział Stach — że Niemcy Niemcom nie równe, to jest co do wiary; bo co dla nas to oni wszyscy jedno lichy. Otóż Prusaki to są niedowiarki, a znów Austryjaki to po naszymu trzymają. — Otóż to tych Austryjaków tak Turek przydusił, że byliby przepadli. Dopiero jak nasze wojsko z Królem tam poszło, jak zaczęła Turków bić, to taka była bitwa, że aż ziemia grzmiała, a Turcy ze wszystkim tak byli pobici, że aż chorągiew swoją utracili; zabrali ją nasi, sam ją widziałem w Częstochowie. — Tak tedy jak Turcy uciekli, jak nasz Król na czele wojska wjechał do Wiednia, to Niemki tak w oknach jedne przez drugie wyglądały, żeby zobaczyć pięknego Króla z walecznym wojskiem co ich obronił. I nasz Król nie za to nie wziął; wybił, wypędził im Turków, kraj im zostawił wolny i wrócił do domu z wojskiem."

„Już to prawda — mówi Marcin Wójt, że nasze wojsko to zawsze się wszędzie tego biło. Jak to pamiętam, mój ojciec

opowiadał, że bywało jak gdzie na wojnie byli, czy to kiedy z Francuzami szli, czy sami, to opowiadał, że jak gdzie takie ciężkie miejsce, czy wody, czy skały, czy wąwozy, czy dużo nieprzyjaciela, to Francuzi, choć to też niezego się biją a nie chcą iść, to dopiero jak sam ich Cesarz zawoła: Hej Polacy naprzód! to nasza wiara jak się rzuci naprzód, to nie pytają czy wody, czy góry, to jedni się topią a drudzy po nich, aby dalej. A jak tam gdzie za morzami, w Hiszpanii, wielkie góry były, to Francuzi niechcieli iść, a nasz pułk jak się kopnie, tak słyszę niektórzy, że się w tył z końmi przewracali, a inni nie zważali na to, i wdarli się i wzięli fortecę, harmaty, het wszystko co trzeba było. To słyszę sam ich Cesarz tak latał pomiędzy nimi i krzyże przypinał, a Francuzi zazdrościli naszym tego honoru."

„Ta cała rzecz co mówicie kumie, to jest u naszych państwa w pokoju odmalowana; tak tam wszyscy jak żywi! To tam jakiś był oficer, co krewny był pani starszej, to ona mi wszystko opowiadała. Jeszczem był niewielki, to mnie czasem,

kiedy dobrze czytam i katechizm wydam, to oprowadza po pokoju i opowiada takie śliczne rzeczy, co tam z historyi malowane wiszą na ścianach; a bywało, pyta: jak mnie się tam co zdaje? czy ja te rzeczy rozumiem? Niech jój tam Bóg da Niebo!"

Tak sobie jeszcze gwarzyli; to chłopaki się odzywali, to dziewczuchy, to stary Jakób, a to był najstarszy we wsi, i też bywalec, choć nie był dworskim, ale nie w jedném miejscu był i nie jedne czasy pamiętał. Lecz Stach odczwał się, spojrzawszy na zegarek srebrny co sobie kupił w Krakowie, chował sobie, bo lubił wiedzieć która godzina i jak gdzie szedł, tak zdejmował ze ściany z nad łóżka i na szyję na mocnym stalowym łańcuszku zawieszał. Otóż jak spojrzął na swój zegarek, tak powiada: „Jeszcze godzina nie późna, łuczywo się widno pali, przeczytam wam śliczną historję prawdziwą; ja ażem płakał jakem ją czytał."

I wyjął Stach z kieszeni *drukowany papier* i czytał co następuje.

REKA OPATRZNOŚCI.

Powleść prawdziwa z życia ludu.

W pięknym dniu czerwcowym, słońce już od godziny oświecało widnokrąg; zewsząd słyhać było głosy wybierających się na robotę wieśniaków, którym towarzyszył ryk pędzonego na paszę bydła i odzywających się tu i owdzie piszczałek pastuszych. Cała osada wiejska była w ruchu. Nikogobyś prawie, prócz starców i dzieci, w żadnej nie zobaczył chacie. Jeden tylko jeszcze gospodarz z pługiem, ze swego nie wyjechał podwórka,—lubo wszystko w pogotowiu było: woły zaprzężone; mały dziesięcioletni chłopak stał z bieżem do poganiania; stary pies *kruczek* łaił się koło swego pana, to biegł do wrót,

to znowu się wracał, jakby zapytując, czemu nie wyruszają w drogę? W tém ozwał się chłopak:

„Zaczém tak dziadku czekacie? Matula poszli z grabiami do siana, to nie przyjdą aż wieczorem; garnuszek z barszczem, podpałki i kartofle już mam w torbie; jak na południe posiadamy, to ja pobiegnę do chaty karbowego i przygrzeję wam barszcz, bo matula mówili żeby wam zimnego nie dawać; to czegoż wam jeszcze trzeba?”

„Nie zdłużam (1) mój chłopcze” odrzekł smutnie dziadek i głowę zwiesił na piersi, ręce oparł na kolanach, a smutny wyraz twarzy, nietylko ból fizyczny ale i moralne wydawał cierpienia. W tém we wrotach, ukazał się na zwinnym niewielkim koniu, młody jeszcze człowiek, w białej płóciennej kapotce, w dużym słomianym kapeluszu. Był to ekonom, lubo w ręku miał tylko mały do konia pręcik, a nie gruby zwinięty batóg, owe dawne, stare berło ekonomów, bez którego nie zwykli wyruszać. On zamienił to godło władzy swojej na pręcik do konia; niemogąc się jednak

(1) *Niemam siły*, nie zdłużam, mówi lud na Rusi.

wyrzec prerogatyw przodków, używał niekiedy owego pręcika *i na co innego*, w rzadkich wszakże tylko wypadkach, gdyż to był człowiek postępujący z wiekiem, z nowszymi wyobrażeniami, kochający lud daleko więcej, niż wszyscy jego poprzednicy. Wjeżdżając w podwórko zapytał:

„A cóż Jakóbie? jeszcze się nie wybrałeś? Jadąc przez wieś umyślnie tu wstąpiłem, bo pewny byłem że i dziś, tak jak nieraz bywało, nie wyjdiesz z pługiem. Bieda mój stary! uparty jesteś! nie chcesz porzucić gospodarstwa, a niemasz kim robić; sam nie możesz i gubisz się! Coraz ci więcej pańszczyzny zalega: ja nie w mocy jestem ją darować. Jakes zachorował w jesieni, już miałeś zaległą pańszczyznę; namawiałem cię, oddaj grunt za ogród, to ci lżej będzie. Nie chciałeś mię słuchać; traciłeś się do reszty żeby robotników najmować i teraz zawsze musisz pójść na to, bo już i woły lepsze sprzedałeś. Te młode byki i para krów, nie długo pług pociągnie,—a tu nie tylko trzeba odrobić

tyle zaległej pańszczyzny, ale jeszcze i sobie porać!"

Chłop powstał. Był to silnej budowy i wysokiego wzrostu mężczyzna, zaledwo pięćdziesiąt lat mający, ale czoło zmarszczone, twarz zorana i osiwiałe włosy, przyczyniały mu dziesięć lat starości, na pierwszy rzut oka. Skłoniwszy się ekonomowi z żalem się odezwał:

„Ach! proszę pana! kiedyż-bo to człowiek nie rad swojej siedziby porzucać! Człek myślał swoją głowę tu położyć! Taż to wszystko własna praca! Te obórki i stodołę tom z ojcem stawiał!"

Tu rzucił bolesne spojrzenie do koła, a porządne i czyste zabudowanie, jeszcze mu się piękniejszém niż kiedykolwiek wydało. Uczuł, że porzucić tego nie był w stanie. Załamał ręce, wznosił oczy do Nieba i zawołał z żalem:

„Och! proszę miłościwego pana, żeby się za mną do Jegomości wstawił: żeby jako choć do jesieni mi sfolgował; a może czy Bóg nie da mi jakiej rady! Może mię przestanie kręcić tak w rękach i nogach; a może i syn powróci, to inna rada będzie!"

„Ależ mój Jakóbie! trudno żeby pan tyle na was tracił. Na wasze gospodarstwo nie jeden się napiera. Jak pan osadzi takiego, co będzie miał woły i kim pracować, to i panu i jemu dobrze będzie; a ty sam jeden nie dasz sobie rady, a parobka niemasz już teraz za co trzymać."'

„To ja na ogrodzie takóž sobie nie poradzę! Oh! już to widać z torbą człeku isć wypadnie,—dodał z rozpaczą,—to już widać taka doła!"

„Nie rozpaczaj, mój Jakóbie! Pogadam ja z panem. Właśnie u nas myślą już po trochu zacząć w tym roku was czynszować: może wtenczas prędczej sobie dasz radę, a pan dla ciebie pewno przystanie, żebyś z dołu czynsz płacił."

„O! żeby tak można! odrzekł po chwili namysłu Jakób—toby człek może łatwiej z biedy wylazil. Lżejsze roboty to prędczej podofam. Przecie znają mię na całą okoliczność (1) żem nie zły do ciesielki. Poszedłbym gdzie na kilka tygodni do jakiego majstra, tobym i zarobił. Przecież

(1) Okolicę, wieśniacy na Rusi zowią *okolicznością*.

dopóki syn mój młodszy żył, to z niewiastką *na pańskie* (1) chodził, a ja całe lato i jesień nie byłem doma — i bywało, nie jedno sto-złoty przynosiłem. Ale teraz jak on pomarł, niewiastce ciężko było, to i poszła do swoich. Człtek musi siedzieć na miejscu jak przykuty, to i z kąd co zarobi?”

„Ale jakżebyś własny grunt obrobił?”

„Cóż, proszę pana, jużbym sprzedał ostatnią koszulę, żeby pług nająć, a niewiastka (synowa) z tym oto chłopakiem, swojemi bydłatkami by zawlokła, — zasiała, a jabym tym czasem gdzie zarobił. Już to, proszę pana, całkiem inaczej, kiedy człeka na wolę zostawia, wtedy każdy dzień jego własny, to on prędzej da sobie radę.”

„No! no! zobaczymy — odrzekł ekonom; pogadam ja dziś z panem ostatecznie względem ciebie, to tak dłużej byź nie może. Jutro rano, przedemszą przyjedź do dworu, to się dowiesz jak tam pan zdecyduje. A ty mały — rzekł obracając

(1) Na pańskie; = lud tak zowie pańszczyznę.

się do chłopca — załóż tych parę byków do wozów, odprowadź na folwark, a ja tam dam parobka, żeby nimi gruz wywoził. Dobrze, że choć jakokolwiek dziś dzień odrobicie.”

Poczem wnet odjechał, przykazując pośpiech chłopakowi, któren miał zawsze ochotę, choć raz w życiu z dziadkiem razem pruć zagony lemieszem. Teraz więc, straciwszy tę nadzieję, z kwaśną miną, za pomocą dziadka wytoczył wóz, włożył węń deski, zaprzągł woły i pojechał.

Smutnie za nim popatrzył Jakób, bo żał było w cudze ręce dawać własnego chowu bydlatka. Hekróć musiał dawać do sprzęgania drugiemu swoje woły, co dość często się zdarzało, zawsze do samego wieczora był niespokojny, bo też nieraz dostrzegał albo kark obtarty, albo róg kopyta nieco przyłamany. Jakób był uznany za najpocziwszego z całej wsi człowieka. Nieraz chłopci radząc w karczynie o swojej biedzie, mówili o nim:

„Za co też to Pan Bóg tego Jakóba tak nawiedza; bo to człeczysko pocziwe

i pracowite, a ot, bieda po biedzie wali się na niego!”

Prawda też to była, że Jakób przez ciężkie koleje przechodził. Z początku dobrze mu się wiodło. Lecz kiedy drugi syn jego, Maciej, umarł, pieniądze wszystkie jakie w domu były, poszły na pogrzeb. Pomocy nadal nie stało. Wtedy cała moc duszy opuściła Jakóba. Ciężko to odchorował, a pomimo starań młodej pani, żony dziedzica, która wyleczyła, choć to rok już temu minął, Jakób zawsze był niemocem i cierpiał ból w nodze. Dla tego nie mógł orać pługiem, do którego i za młodu niebardzo był przyuczony. Straciwszy nadzieję jakiegokolwiek pomocy i poprawienia losu, do reszty opuścił ręce. Myślał, że przyjdzie mu opuścić chatę i grunt rodzinny, truć mu w dzień spokojność, sen w nocy, i resztę sił odbierała. Bo cóż to dziś było za porównanie z dawniejszym stanem jego! Ojciec Jakóba słynął z bogactwa; wyposażył dwóch synów; a chociaż i Jakóbowi, który jako młodszy mało chodził za pługiem, a tylko cieszył się całym, —przeznaczył dwie pię-

kne krowy i cztery woły, jeszcze mimo to zamożnym pozostał. Starszy brat Jakóba poszedł na własne gospodarstwo. Ojcu więc dopomagał tylko syn młodszy. Wkrótce jednak los Jakóba odmieniać się począł. Żona mu długi czas chorowała; umarł ojciec; wkrótce za nim letnia poszła matka. Wiele stracił na ich pogrzeb, jednak miał się jeszcze dobrze; bo wówczas dziedzic stawiał nowe budynki i Jakób prawie całą pańszczyznę siekierką odrabiał. Dwóch synów, z których jeden miał dziewiętnaście, a drugi lat siedmnaście, obrabiali grunt własny, a w potrzebie kolejno, za pługiem na pańszczyznę chodzili. Żona gospodarza pilnowała ogrodów. Starszy syn, Maxym, ożenił się i przyprowadził w dom matce posłuszną i pracowitą niewiastkę; z nią parę krówek w posagu przyszło i rodzina cała zażywała dobrego bytu, o ile ten w ciężkiej, codziennej pracy, znajdować się może. Ale u poczciwego ludu polskiego mniejsze są wymagania, mniejsze potrzeby, a więc i mniej do szczęścia im potrzeba. Dziedzic tej wioski, lubo chciał być dobrym dla lu-

dzi panem, lecz młody, nie żonaty, nie siedział nigdy w domu. Ekonom robił co chciał; temu wystawili inni, że u Jakóba trzech chłopów w chacie, bo on sam zdrow i nie stary jeszcze, więc sobie da radę z młodszym synem Maciejem; a starszy, Maxym, odziedziczył tylko chęć i zdatność do siewki po ojcu: *nie warto mu też uwolnienia od popisu wyrabiać*—mówili do ekonomy—bo z niego pan pługowego nie będzie miał gospodarza, bo on jeno ma chęć do cieszki.—Dobre mamy zabudowania: na co nam cieśla?—mówił do siebie ekonom—i Maxym, jako popisowy, *zabranym* został do wojska. Odtąd szereg nieszczęść spadł na Jakóba. Maxymowa w miesiąc po zniknięciu męża, powiła syna. Słaba to była pociecha dla biednej rodziny i dla letniej babki, która także wkrótce pożegnała się ze światem i z przybywającą nędzą! Jakób nie upadł jeszcze całkiem na siłach i duchu; chciał pracować dla wnuka i dla drugiego syna. Pocziwa synowa, przywiązawszy się do niego, jak do drugiego ojca, dopomagała mu, zastępując miejsce gospodyni. Ale już nie szło

im dobrze. Jakób nie mając we wsi cieszki roboty, oddalał się z domu nie raz, na kilka tygodni. Dziedzic zawsze mało we wszystko wglądał. Ekonomowie ciągle się zmieniając, coraz bardziej niszczyli chłopów. Który z kmotków miał dobre woły, tego zawsze do odstawiania zboża i do pług pędzili, dając na zapłatę kwitki, za które potem wódką tylko płacili. Młodszy syn, słabiej budowy, lubo starał się pomagać, ale nie mógł wiele pracować.

Widząc że ojciec rady sobie dać nie zdoła, ożenił się, myśląc tym sposobem polepszyć stan rodziny. Wkrótce po weselu nakazano mu jechać ze zbożem o mil kilka. Parobka posyłać nie chciał, bo mu już padł był wół jeden, przez niedozór tegoż. W drodze zmokł, przeziął, zdźwiagał się; powróciwszy, mocno się rozchorował. Wtenczas właśnie dziedzic się ożenił. Gdy przyjechał z żoną do wioski, młoda i dobra kobieta, naprzód troskliwie wypytywać się zaczęła o stan zdrowia kmotków. Dowiedziawszy się o chorym Macieju, sama go odwiedzała; lecz już było

za późno! Ostatnia podpora, nadzieja i osłoda Jakóba, życie zakończyła! a biedny ojciec wszystkie pieniądze, jakie z zarobku przyniósł do domu, na pogrzeb syna wydał. Najopłakańsza już odtąd była doła Jakóba.

Po rozmowie z ekonomem, którąśmy wyżej przytoczyli, twarz starca rozjaśniać się nieco zaczęła. Gdy powróciwszy w wieczór, niewiastka ogień rozłożyła, przysunął się do komina i zapytał: co gotować będzie? Zdziwiona kobieta spojrzała na niego, bo dawno nie wtrącał się do niczego, i zaledwie na usilne prośby zjadł parę łyżek stawy jakiegokolwiek.

„Cóż ojeze! orzeźwieliście trochę dzięki Bogu!—rzekła do niego—czy dobrze wam z pługiem poszło?”

W chwili gdy to mówiła, mały Jasio przyprowadził woły od roboty. Wyszedł natychmiast Jakób, żeby je obejrzeć i nadać trawy, jaką im przez dzień przysposobił.

„Patrzcie-no dziadulu! jak ten raby bokami robi? Ledwie go przyprowadził!”—

zawołał Jasio. Jakób się przybliżył, żeby obejrzeć.

„Tak to w cudze ręce dawać woły!—rzekł smutnie—Najpiękniejszy, najteższy wół!... Kto wie czy co z niego będzie. Gorący był, znać się zerwał.”

Jakób znał się na chorobach bydła. Gdy więc wół położył się i coraz gorzej bokami robił, Jakób uznał, że mu krew trzeba puścić. Kazał świecić łuczywem Jasiowi, a sam za pomocą niewiastki zabierał się do tego. Chłopczyną świecąc, za nadto zbliżył palące się łuczywo do oczu zwierzęcia. Wół dobył sił ostatnich zerwał się gwałtownie i znów o ziemię powalił. To wszystko stało się tak prędko, że biedny Jakób nie zdołał się usunąć: powalił go więc wół swoim ciężarem. Ledwie za pomocą niewiastki i Janka mógł się wydostać, ale na nogach utrzymać się nie był w stanie. Lewa ręka i noga zdawały się zupełnie zgruchotanemi. Wśród płaczu dzieci, ledwie się zawlókł do izby, gdzie go z trudnością położyli. W parę godzin przyszła mocna gorączka; Jakób jednak nie zapomniał o swoim *rabym*.

Co chwila pytał o niego Janka. Kiedy świtać zaczęło, wyprawiał go po sąsiada z prozbą, aby wołu ratował. Janek opieszale brał się do tego, bo *raby* już nie żył: tylko nie chcąc martwić dziadka, odpowiadał na jego pytania:

„E! co tam — dziadulu, — nic mu będzie!” (1).

Naglony w końcu, aby szedł po sąsiada, szepnął do matki, że nie ma już po co. Domyślił się biedny Jakób, stęknął boleśnie — i jakby przekonany tym ostatnim ciosem, że próżnoby walczył z nieszczęściem, zawołał po chwili niewiastki i rzekł do niej:

„Pójdiesz dziś do dworu; powiesz co się stało!... Już trudno!... Kiedy taka moja doła, to niech i tak będzie! Powiedz panu niech sobie innego na mój grunt obsadzi! Tylko prosz, niech mię za życia z chaty nie wyrzucają!... Niech w niej choć głowę położę!... Nie długo im będę zawadzał!”

„Ach ojcze! — zawołała łkając niewiastka — czyż tak nas chcecie porzucić?”

(1) W Lubelskiem lud nasz tak mówi.

„Cóż robić, moja kochana: nie moja to wola, ale Boska!... Poprosisz pana, żeby ci ogrodową chatę na czynsz wypuścił. Przedasz wołu, żeby mieć na początek!... Przyjmcie dziewczkę, to i dacie sobie radę. Na deski do trumny i na mój pogrzeb.... kożuch i sukmana wystarczą!... Nie płacz niewiastko! płacz nic nie nada! Idź do kościoła i do dworu, a poprosz księdza, żeby do mnie zaszedł; bo może to już trzeba się wybierać.”

Jakób, ze zwykłym ludowi naszemu poddaniem się (rezygnacją), leżał spokojnie, mało co nawet stękając, lubo gorączka wzmagała się znacznie. Co chwila tylko pił wodę, którą mu płaczący podawał Janek. Niewiastka wróciła ze dworu; a wkrótce za nią przysłany od młodej pani cyrulik, zastał tylko mocne stłuczenie nogi i boku, ale zupełnie była wybita lewa ręka. Po jej nastawieniu, użyciu pijawek i t. p. zalecił spokojność i regularne picie lekarstwa, mówiąc że trzeba wielkich starań, ażeby Jakób przyszedł do zupełnego zdrowia, mając tak mocno poturbowane prawie pół ciała. Wkrótce i młoda, po-

wszechnie za czułą uchodząca pani, odwiedzała chorego, przyniósłszy mu różne leki. Chcąc pocieszyć i uspokoić Jakóba, mówiła, że im dadzą najbliższą dworu chatę z ogrodem na czynsz.

„Tam sama będę chodziła i pilnowała, żeby wam dobrze było—mówiła pani—a czynsz z dołu płacić będziecie.”

Ciesząc w ten sposób Jakóba, dobra pani nie wiedziała jak bolesną sercu jego zadawała ranę. On bowiem, nadewszystko miłował tę chatę w której się rodził, w której dziady pomarli, i to pole z gruszą, pod którą na południe siadywał, i te obórki, te stodoły, które sam z ojcem stawił. Znana jest w polskim kmiotku miłość siedziby własnej. Często, z odmianą właścicieli przechodzi on najsmutniejsze koleje, jednak z wytrwałością: woli nędkę, złe i nadużycia znosić, aniżeli rzucić grunt i chatę swoją. Tak i nasz Jakób: stokroć wołałby raczej umrzeć niż opuścić swój domek. Po odejściu więc pani, wzniósłszy oczy do nieba, zawołał z ufnością:

„Może mi Bóg miłosiwy pozwoli umrzeć!... a wtedy przynajmniej w swojej umrę chacie!”

W kilka dni potem, Jakób coraz silniej znękany nieszczęściami, cierpieniem i gorączką, coraz też niecierpliwiej wyglądał największego dla siebie dobra—śmierci.

Do późna, razu jednego, kazał świecić w nocy. Niewiastka właśnie rozdmuchiwała przygasły ogień, gdy coś zaturkotało przed chatą.

„Ach nieszczęście,—zawołała kobieta. Toż to strażnika wózek. Ach ojcze, strażnik! co tu robić?”

„Już koniec z nami!—jęknął starzec.—Zaraz!... nie otwieraj chaty, a tymczasem wyjm z pod łóżka te parę liści tytoniu, co mi wczoraj kum przyniósł... i schowaj!... Ba!... gdzie schować?... on wszędzie szukać będzie!.. on mnie z posłania wyrzuci!..”

„Ostatnie zabierze krowy!” — rzekła z płaczem synowa.

„Taka już dola nasza!”
Nieszczęśliwi ludzie głowy prawie stracili. Tymczasem, w ciągu ich rozmowy, stukanie do drzwi bardziej się wzmacnia.

Nareszcie przy kołataniu do okna, głos się ozwał dawno przez nich niesłyszany:

„Ojcie! Nastko! czy żyjecie!”

Głos ten odbił się w duszy ojca i żony, rozległ się w jednym oka mgnienu i jak iskra elektryczna, wstrząsnął sercami przepełnionemi boleścią.

„To Maxym!”—krzyknęła kobieta i jednym skokiem drzwi wyparła—i już była w objęciach męża. Jakób usiadł na łóżku, jakby nadludzką ożywiony siłą i obie ku synowi wyciągnął ręce. Rzucił się ku choremu Maxym, a potem nogi ojca ucałował. Stary wieśniak schorzały, zbiedzony, nie mógł wytrzymać tak silnych i nadspodziewanych wstrząśnień: omdlał w uściskach syna. Nowe było przerażenie; po czém wzajemne nastąpiły opowiadania. Ze smutkiem wysłuchiwał syn kolei nieszczęść, przez jakie ojciec i cała jego przechodziła rodzina. Uścisnąwszy syna, którego zbudzony, nie mógł pojąć z kąd mu się wziął ojciec, Maxym rzekł odważnie:

„Dam ja radę wszystkiemu! a tymczasem i ten chłopak do pomocy podrośnie.

Ale zapomniałem o koniu! Ja się raduję, a on moknie, bo deszcz ogromny puścił się!”

„Zkąd żeś ty wziął konia?” zagadnęła żona.

„To mój wózek i konik; jak go nakarmię, zaraz wam będę gadał.”—i wyszedł.

Gdy powrócił do chaty, tyłą pytaniami obarczono Maxyma, że zaledwie mógł odpowiadać.

„Czemu ty tak dawno nie przysłał do nas żadnego pisma?”—rzekła z wyrzutem żona.

„Co ty sobie myślisz? Abo to jedno sto mil nas przedzielało. Już osiem miesięcy jakim wyszedł z miejsca.”

„Ach biedny!—zawołała żona—to tak dawno idziesz?”

„Byłbym pierwój przyszedł, ale miałem przypadek.”

Przy opowiadaniu rozbierał się Maxym; Nastka pobiegła do komory; tam ze skrzyni dobyła sukmanę, którą podając mężowi, rzekła radośnie:

„Patrzaj! dochowałam ci własną twą sukmanę, w której cię wzięli do wojska.

Oj chowałam ją, chowałam! bo mi coś szeptało, że w niej chodzić będziesz!”

Mąż tymczasem wybierał, to piękne paciorki, to chustki, nareszcie oddał kaletkę żonie mówiąc:

„Masz tu dziesięć rubli, którem wystużył; nie wydałem ich, bo wszystko miałem do życia w wózku. Oto masz szkaplerz, który pani dała, mówiąc żebyś ci od niej oddał.—Tam znajdzie twoja żona—mówiła do mnie—medalik dla siebie i krzyżyk dla syna.”

Nastka odebrała szkaplerz.

„Ach śliczneć-to, śliczne!—zawołała—Ale tam coś grubego jest we środku.”

„Mówię że medalik i krzyżyk; jutro rozporzesz, wyjmiesz i powiesz na szyi, bo prosiła pani, żebyś nosiła to na wstążce, ciągle mi powtarzając: ja to nie dla was daję Maxymie, ale dla waszój żony.”

„Jakaż to pani, taka dobra? I gdzież może być taka dobra pani? — zdziwiona i niedowierzająca Nastka rzekła. — Powiedz nam zaraz o niej.”

„E! to tak długo gadać, to tam kiedy!...”

„Powiedz! powiedz!”—nalegała żona.

„Oto widzicie! już byłem od was tylko o trzydzieści mil, kiedy w jednej wsi szedłem sobie; właśnie na most wchodzę, a w tém widzę, że jak błyskawica pędzą konie prosto na most. Ja się przyczaił pod kobylicę u mostu, ależ patrzę że wloką za sobą jakby kobietę z dzieckiem; a jakiś pan jakby nieżywy, aż się położył w powozie, tak je zciaga. Jak konie rzuciły się na most, to ja wypadłem znowu i rzucałem się na nie. Obaliły mię na ziemię jak trzcinę i przytłukły, ale i same stanęły. Żeby nie to, i pani i dziecię roz tłukłyby się były o kobylicę. Nie wiedziałem co się ze mną działo. Jakiem się ocknął, tom leżał na trawie oblany wodą, a nademną klęczała pani i dziecko. Pan coś do mnie gadał, ale ja nic nie słyszałem. Dopiero mi potem opowiadali państwo, że pojechali na spacer z chłopczykiem jedy-nakiem. Konie się zlekły i uniosły. Pani chciała wyskoczyć z synkiem, ale noga zaczepiła się w stopniu. Pan nie mógł dać jej rady, bo chciał konie zatrzymać. Szczęściem nie długo się tak męczyli, bom ja wtedy właśnie wyskoczył. Im nic prawie

nie było. Ale ja leżałem sześć tygodni bez pamięci. Dbali też o mnie jak o syna. Kiedym też zaczął zdrowieć, chciałem iść do was. Więc oni chcieli mi dawać pieniędzy. To mi się przykro zrobiło. Powiedziałem, że przecie nie dla zapłaty ich ratowałem. Pan mię przeprosił i powiedział: przynajmniej na pamiątkę weźmiesz wózek i konia, żebyś piechotą nie wracał. „Ja winnam ci życie moje i mojego jedyne-go syna,—mówiła znowu pani. Nigdy nie zapomnę was Maxymie, waszój Nastki i Janka.”

„Ach! zkad-że ona wiedziała o nas?”—przerwała dobrodusznie niedomyślna żona.

„Ach! zwyczajnie, dobra pani, przychodziła do mnie; a kiedym już pamięć odzyskał, zawsze mi kazała mówić o was. Nawet chciała posyłać do was. Ale ja mówiłem: niech już będzie jak Bóg da! Kiedy wyzdrowieję, to sam pójdę. A jak umrę, toby gorzej im żal było. Och! ty nie umrzesz Maxymie! mówiła dobra pani; prawda że nie umarłem. Otóż pani, kiedym odjeżdżał, powiedziała do mnie: Ja i mój syn, całe życie o was pamiętać bę-

dziemy; ale chcę, żebyście i wy o nas wspomnieli, dla tego posyłam żonie i synowi waszemu małe pamiątki. Zaszyla w szkaplerz medalik i krzyżyk dla was, a kazała mi na szyi powiesić, żebym nie zgubił.”

Już dzień był dobry, a jeszcze gwarzyła uradowana rodzina; lubo Jakób, skutkiem gwałtownych przejść jakich doznał, w gorszą wpadł niemoc i gorączkę. Gdy słońce zaświeciło w chacie, Nastka nastawiwszy śniadanie, wzięła się do rozparania szkaplerzy, bo Janek dopominał się o swój krzyżyk. Powoli rozwijając papierki znalezione w szkaplerzach, zawołała:

„Ach! patrzcie no! ta to takie papierki, jak ojciec wziął jednego za woły i mienił potem we dworze.”

Przyszła do łóżka ojca i gdy z wolna rozwijali z Maxymem, pokazało się, że medalik z ładnym Matki Boskiej Pocajowskić wizerunkiem, był zawinięty we trzy sto-złotowe papierki; a krzyżyk złoty dla Janka, także w drugie trzy podobne papierki. Zdziwienie i radość Nastki były nie-małe.

„To prawdziwie ręka Opatrzności poratowała was, moje dziatki,” rzekł słabym głosem Jakób.

Sześćset złotych dla rodziny poczeiwego chłopka jest majątkiem, jest ratunkiem, który go na zawsze z biedy wyciągnąć może. Tak się stało z Jakóbem. Po długiej chorobie wyzdrowiał i odmłodził. Młodym tenże sam grunt ojcowski wziął na czynsz i był wzorowym gospodarzem. Janek z początku chodził do szkoły, a potem pomagał ojcu, który nacieszywszy się lat parę z rodziną, co rok potem wychodził dla zarobku na kilka tygodni i nie małą ilość pieniędzy za cieszki przyniósł. Gdy potem w dziesięć lat widziano Jakóba z małą wnuczką, jadącego wózkami do przyległego miasteczka, mówili chłopcy pomiędzy sobą:

„Jednak to prawdziwa Opatrzność Boska nad poczeiwym Jakóbem! Ot, i znów mu się dobrze wiedzie! Prawda, że też to dobre i pracowite człeczysko! Nigdy nikomu w drogę nie wlaź!

Jak Stach skończył czytanie historii, wszyscy chwalili, a niektóre miejsca po dwa razy kazali sobie powtarzać, żeby lepiej zrozumieć; a kobiety i młoda Ulka nieraz łyzy sobie obtarły. — Stary Jakób trochę był głuchy więc przysunął się ze stołkiem do Stacha, i tak nastawił ucha że wszystko słyszał; także mu się bardzo podobało i powiedział: — „Ej prawda że to Opatrzność Boska to nie raz cuda czyni; a ten straszny wypadek z Mordów, to też wszystko się cudownie porobiło i zbrodnia się wydała.”

„Cóż to było takiego, mój ojcze? Powiedźcie nam;—zawołali parobcy i dziewczęta — już też dawno nieście nam nie opowiadali. Bywało przeszłej zimy, jakżeśmy się do waszej wnuczki prężyć schodziły, toście nam nie jedną ciekawą bajkę, to o wilkach, jak od świętego uciekały, to o matce co to ją w śniegu znaleźli, opowiadali.—Powiedźcie i dziś co jeszcze.”

Istotnie Jakób czasem opowiadał co młodym; bo on był taki stary, a taki pobożny, poczeiwy, że go wszyscy lubili. Przed kilką laty to i jemu była bieda; syn u któ-

rego mieszkał, bardzo lubił pić; synowa też za kołnierz nie wylała. Nieraz żalowali staremu, nie zważali na niego, a jak im co powiedział, to jeszcze mu nawywnysłali. Raz pani spotkała starego Jakóba jak płakał i szedł sobie drogą, jakby nie wiedział gdzie idzie. Zaczęła go pani wypytywać, ale on nie chciał nie mówić. Więc pani kazała się dowiadywać od sąsiadów; *a wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.* Otóż i tu, choć sami nie lepsi, nagadali: jak to się popijają syn i synowa i jak starego wypędzają, nie szanują, nie dbają o niego. Dopiero zwołali do dworu wszystkich, okrutnie nastraszyli ciężką karą i wystawili co to za kara Boska czeka tych, co nie pełnią przykazania Boskiego: „Czcij ojca i matkę swoją.” Aż się popłakali we dworze i przyrzekli i przepraszała starego i było jakiś czas dobrze. Aleby tak długo nigdy ta dobra komitywa nie trwała, żeby nie to, że jak się nawrócili o tem trzynaście lat, jak przestali pić, tak inni się ludzie z nich porobili. Teraz koło starego chodzą jak Bóg przykazał, a stary kontent, znów ich różnymi historyjkami zabawia zimną na

długich wieczorach; a wie ich nie mało, bo on jeszcze pamięta jak żył Kościuszko, jak w lasku niedaleko Sosnowicy figurę stawiał;—różne rzeczy pamięta. Otóż jak zaczęli pytać starego Jakóba, co to się we wsi, w tej samej okolicy będącej zrobiło, tak on odchrząknął, połknął odrobinę miodu, i tak zaczął opowiadać to, co się zrobiło kilkanaście lat temu.

dobrze im się wiodło, bo byli pracowici, trzeźwi ludziska. Filip miał troje dzieci i dobrą żonę.—Więc że jak trzeba odwozić do Obwodu podatek, tak zawsze wybierają porządnego gospodarza;—bo naturalnie to nie mała rzecz takie pieniądze; co to prawdziwie krwawa praca biednych ludzi, to nie można powierzyć byle komu w jakie bądź ręce.

Na Filipa, jako trzeźwego i uczciwego, wypadało wieść teraz podatek. Miał tęgą kobyłę; zaprzągnął więc swój wózek, pieniądze mu odrachowali, on je wsypał w worki, potem w jeden długi worek, opasał się nim i mocnymi sznurkami przymocował. Ale że ta droga była mu nie na rękę, bo miał co koło domu robić, tak strasznie był zły. — Żona go pyta kiedy wróci? a on jej na to:—„co tobie do tego; patrz swoich konopi.” Stary ojciec nie nie mówił, ale jak ona obiad im zastawiła żeby zjadł na drogę, tak on pyta: gdzie piwo co wczoraj kazał przynieść i ostało się trochę w dzbanku? Zona powiada że ojcu coś zimno było a pieć ebciał, tak ona mu oddała.—Tak on, czego nigdy nie bywało, coś zaczął pod

OKROPNY WYPADEK.

Był sobie jeden gospodarz jeszcze nie stary; znałem go, ale lepiej jeszcze znałem starego ojca jego, siwego jak gołąb, którego też dawne czasy pamiętałem i można mówić że trudno spotkać już dziś takiego starszaka chędogiego i pracowitego. Dawniej on kiedyś był także na wojaczce, a potem do tkactwa się wziął na starość i wyrabiał płótno; ale mu to już nie tego szło; już ledwo worowinę mógł robić, bo już nie dowidził. — Siedział przy synu Filipie, którego był gospodarzem w Mordach (1);

(1) Opole, Mordy, są to majątności prywatne w Podlaskiem leżące; tam to istotnie ten wypadek miał miejsce lat temu około szesnastu.

nosem burezyć, niby staremu przycinać że on wszystkoby zjadł i wypił. Żona się spojrzała i pomyślała: to jego dziś opętało! Boże go zachowaj! ależ wyraźnie jakby go złe opętało.—Żona mi to wszystko rozpowiadała, kiedyśmy się potem nieszczęściu na odpuszcie spotkali. Jak zjadł, tak nie podziękowasz Bogu wsiadł na wózek, nasunął czapkę na oczy, zaciał kobyłę i ruszył; a wszystko zły że musi jechać.

Już słońko chyliło się ku zachodowi, kiedy Filip jechał popod lasem, niedaleko Opolu. W tém jakiś człowiek wychodzi jakby z lasu i tuż idzie koło jego wózka; nareszcie nie mówiąc — *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, tylko tak jakby z niepolska mówi mu: Ja sobie trochę przysiądę się do was. I wskakuje na wózek. Filip cóż miał robić?—Zrucić go nie wiedzieć jak? Więc jedzie. Jak ujechali kawałek gdzie grobla, tak ten co wsiadł na wózek, jak złapie Filipa za gardło, tak go zręcznie w tył przechyli, i nożem jak ciachnie, tak mu gardło poderżnął!—Pieniądze z niego odwiązał, zabrał, a jego w rów rzucił; sam zaciał kobyłę i pojechał sobie.

Już to wiadomo że zbrodnia czy prędej, czy później wydać się musi, i że najczęściej tak Bóg pomiesza rozum zabójcy, że sam co takiego robi, jakby umyślnie na swą zgubę.—I tak ten zbójca co Filipa zarznął, nie uważał na którą stronę grobli go rzucił; żeby był rzucony w tamten rów gdzie woda, toby go nawet prędko i nie znaleźli; ale on go zepchnął w rów, gdzie tylko na dnie trochę wody było; nie uważał także, że choć go tego nożem ciachnął, to przecie całego mu gardła nie przerżnął.

Więc tak może w godzinę, biedny Filip przyszedł do przytomności i jak mogąc wydrapał się z rowu.—Jak stanął na nogi, tak myśli sobie co tu robić? Krew go uchodzi, sił nie ma; więc na próżno goniłby zabójcę. Więc rozgląda się gdzieby tu iść, gdzie ratunku szukać;—łaka tylko! Ale po za łąką widać duże światło; a że znał doskonale okolice; więc poznaje że to świeci w pałacu w Opolu. Wtedy w Opolu mieszkali bardzo dobrzy państwo, krewni dziedziczki, co mają wieś o kilka mil ztąd. Cała okolica ich znała: czy jakięj rady, czy lekarstwa, czy zapomogi w nie-

szczeńciu, to kaźden od nich, co w możności ich było, otrzymał. Wiedział o tém Filip; więc tylko modli się gorąco, żeby aby dojść do dworu opolskiego.—Idzie biedny Filip przez łąki: nogi mu zapadają w błoto, a do drogi ani myśleć się dostać, boby za daleko na jego siły było. Idzie... siły mu ustają, a łzy mu z oczu płyną, a tylko Bogu duszę swą oddaje, tylko mu żal serce ściska, bo mu stają przed oczy i stary ojciec i żona i dziatki biedne, i żal mu że kiedy już odjeżdżał od nich, ani ich słowem nie pożegnał.—Czy to kara Boska, myśli sobie, za to żem tak strasznie ojcu dokuczył? — I dopiero bije się w piersi i wszystkie grzechy swoje powtarza i ofiaruje się do Matki Boskiej do Kodnia. Cudowna Opatrzność i miłosierdzie Boskie nad biednym Filipem okazały się.—Męcząc się i oddając Bogu, zawlókł się do Opoła, przelaź i przez rów, ale tak mu już siły ustają, że myśli sobie, iż jeśli go Bóg cudem swoim nie poratuje, to w ogrodzie padnie. Aż tu widzi w dużem oknie, w pańskim pokoju światło; tak dopiero dobył się ostatnich; drapie się do okna, bo już do

drzwi do koła domu nie miał siły iść. Jak załomotał w okno, tak młoda pani, która właśnie wtedy pod same okno przyszła, zobaczywszy człowieka jakby widmo jakie, bladego, zakrwawionego, wylękała się okropnie. Ale zaraz pobiegła do męża; a on choć nie zdrów był i w łóżku leżał, zerwał się i pobiegł sam i ludzi zbudził. Jak przyszli, już biedny Filip jak bez duszy leżał pod oknem. Podjęli go, pytają, a on ani mógł mówić. Jednak jak mogący po słówku opowiedział im, że go zarznęli dla pieniędzy, i na jego wózek siadł zbójca i pojechał.

Tak pan pyta jego, jaki był koń w wózku?—On mówi: siwa kobyłka. Tak zaraz pan rozegnał na koniach ludzi, żeby szukali zabójcę, a oprócz tego zaraz kazał zaprządź, i posłał po doktora i po cyrulika; a tymczasem dobra pani co mogła to robiła, aby krew zatamować.

Otóż teraz powiedzcie, czy nie cudowna Opatrzność nad Filipem? Wszak to jemu doktor zeszył gardło!—Takie tam około niego były starania; różne lekarstwa mu dawali i po żonę jego posłali, że on po kil-

ku tygodniach ze wszystkiem ozdrowiał.— A tego zbójcę jeszcze téj samej nocy złapali; po siwój kobyle poznali wózek, którym jechał, i dopiero jak na niego napadli, tak już się nie mógł wyrwać. Pieniądze oddał; mimo to do kryminału go wzięli, bo zawsze chciał zabić człowieka. Filip jak ozdrowiał, tak do nóg upadł swoim dobrodziejom, wrócił do domu, ojca starego w ręce ucałował, bo pamiętał, że odjeżdżając, tak jego siwych włosów nie uszanował. Do Kodnia jak się ofiarował, poszedł do spowiedzi świętej, i od tego czasu jeszcze się pobożniejszy i lepszy zrobił, bo oczywistego cudu doznał. Sam mi to opowiadał, jakim ich obojga spotkał.

Jak skończył Jakób swoje opowiadanie, tak znów na wieczerzę, co dom miał, zastawiła Paraska z pomocą Ulki; a jak się posilili to tém to owem, tak zaczęli rozmawiać o swoim gospodarstwie. Ten opowiadał jak mu się proso urodziło, na kawałku nowiny, którą pierwszy raz w tym roku zasiał, bo choć na niej było kilka krzaków,

jakoś dawniej nie mógł się zebrać żeby je wykarczować.

Drugi znów się chwalił, że jak sobie mały rowek do ścieku wykopał, tak mu tego roku jęczmień ani trochę nie wymókł.—I tak kaźden. To znów ten narzekał, że mu na jednym kawałku nigdy się żyto nie udaje, a inni mu doradzali co na to miał robić. A najwięcej gadali o orce, bo to właśnie parobczak, co się do Ulki zalecał, wziął nagrodę od panów za oraczkę; więc go się wszyscy wypytywali, jak to mu te pieniądze dawali, bo nie wszyscy tam byli. „Ja myślał—mówił Feldek — że to nie panowie dają pieniądze; bom sobie mówił, zacoby oni nam płacili? To chyba na to dają, żeby potém albo w jakiej robocie, albo w podatku oddać; tak jużem się zląkł tych pieniędzy. Ale naczelnik powiatu był; tak sam naczelnik powiedział, że to pańskie pieniądze; że panowie tak umyślili nagrody dawać, żebyśmy się do gospodarstwa brali. Ksiądz też jak miał naukę tak tłumaczył, że oni chcą nam dopomódz wszystkiemi siłami i zachęcić, żebyśmy się dobrze rządili; dla tego

powymyślali, że za każdą rzecz będą dawali nagrody. I te pieniądze nie żadne inne, tylko ich ze składek.” Ja to wiem dawno — odpowiedziała Paraska — i mój to wie, bośmy nie raz słyszeli, jak państwo tam rozmawiali; a pani mówiła mi nie raz: pamiętaj Parasiu, żebyś uprzedła tak równo i cieniutko, jak to mnie na nici przędłaś; to jak będzie wystawa, to złożysz talki cieniutkie z białego lnu i dostaniesz nagrodę i publicznie twoje nazwisko i imię zapiszą i wyczytają. Ja też już mam, żeby da Bóg doczekać, jak będzie wystawa, zanieść i talki i nici jak wybiele.

Jak Paraska skończyła mówić, tak jeden z młodszych gospodarzy powiada, obracając się do Jakóba: „Jednak powiedzcie prawdę, że teraz nie gorsze czasy; wy starzy, to bywało, słyszałem nieraz, jak jeno dawne czasy chwalicie, a że niby teraz, to wszystko gorzej; a tu dziękować Bogu, już ja pamiętam jak u nas gorzej bywało. Pamiętam jak to bywało, kiedy jest jaka ochota, czy chrzciny, czy wesele, to bywało nie ma tak bardzo co jeść, jeno wódki dostatek: to tak się popijemy, pobijemy,

że zawsze do obrazy Boskiej przyjdzie; zawsze prawie niezgoda ciągnie się; — na skargi do dworu idą, a we dworze jeszcze co przyłożą. A teraz oto zeszliśmy się i to nie pierwszy raz, bo i u starego Klima, jak było wnuczki wesele, to też bawili się ładnie; u Błaszczuka chrzciny, i odpust jak tu był, co to dwa święta było, i wszędzie się człek zabawił i najadł że aż silny się czuje. Ot, jak to ostatnią razą, jak ten żydek się przyplątał, co to sztuki pokazywał; co to my się naśmieli, nabawili!... A żeby tak dawniej, toby byli żydka spoili, w końcu wybili, jak wtedy z tym grajkiem, co to mu potłukli muzykę, jego pobili, co to aż sprawa miała być w sądzie. Już to mówcie co chcecie starsi; ja to powiem, że lepsze te czasy niż tamte, co to wy tak bywało wychwalacie.

„Bajesz, bajesz — odpowiedział Jakób stary: — ja gadałem o bardzo dawnych lepszych czasach. — Kiedyście jeno wódkę pili, kiedy bieda była w chałupach, kiedy ledwo kilku było gospodarzy co przecie mieli nie próżne komory, co można było u nich i kaszę i okrasę znaleźć, a u reszty nęda,

bieda, bo gospodarz sobie a baba sobie, co było to wyniesie, czy do karczmy na wódkę, czy na jarmark,—oto wtedy to mnie serce bolało! i myślałem sobie: że to chyba tak złe świat opętało, bo to też były straszne rzeczy! Dzięki Bogu, że się ludzie do dawnego znów wracają.—Och bo dawniej, to też tak jak teraz ludzie się Pana Boga bali, i mieli też podostatkiem wszystkiego; ba i nawet nie było tyle gorzałki; miał ją tam prawda arędarz Szmul, jak dziś pamiętam; sam ją tam w kociołku palił, ale najwięcej robił piwo; i to takie robił doskonałe, jasne, a tak się pieniło jak śmietana. To też bywało najwięcej ludziska piwo jego pili; gorzałka nawet droga była; mało ją tam kto pił.—To dopiero potem coś się zrobiło, jakby kara Boska, że tak zaczęli wszędzie gorzelnie stawiać, a wszystko na wódkę wypalać, a jakieś tam powymyślali straszne kotły; tak się już zdawało, że chyba już cały świat wódka zaleje. — Ja nie wiem co sobie myśleli ci panowie, że im to nie stanęło w myśli, że przecie téj wódki święta ziemia nie pochłonie, tylko ją muszą ludzie wypić. Więc co

tu robić żeby ją wypili?—Trzeba tanio ją sprzedawać. Więc tak na złość jeden drugiemu spuszczał wódkę, i do tego przyszło że jeden propinator myśli sobie: co tu robić żeby mu wódki dużo wyszło? Bierze się na sposób i ogłasza, że on darmo będzie dawał; że tylko każdy zapłaci groszy sześć za wejście do karczmy; a jak raz wejdzie to będzie mógł pić ile mu się podoba. I tak właśnie jakby wędkę na ryby, szynkarze i propinatory łapali ludzisków; a ci też bez pamięci, że choćby darmo dawali, to pić nie można tak, żeby aż pamięć tracić i duszę gubić, dawali się łapać, i tylko o tém myśleli gdzie taniiej. A z tego nowa bieda była: bo znów jak dopatrzyli się, że nie w swojej karczmie pili ją, tak znów łapali, w skórę bili, wódkę zabierali;—niech ręka Boska broni co się działo!... Aż Bóg miłosierny wejrzał i panowie opatrzyli się, że jakby sami dopomogli ludziskom do takiego straszego opilstwa, więc dopiero zaczęli inaczej postępować; miejscami gorzelnie pozamieniali na browary piwne; za robotę przestali wódką płacić; zaczęli za pijaństwo karać.

Ot jak nasz pan: za nic tak nie kazał w skórę walić, jak za pijaństwo.

„To prawda—odpowiedział Stach: panowie wtedy źle robili że tak tylko z wódki chcieli mieć całą intratę, i tak wszystko na wódkę przepędzali; ale też i koło nich była bieda, bo to słyszę zboże było takie tanie.”

„A prawda—przerwał mu stary Jakób: pamiętam za parę, to jest, za korzec żyta i korzec pszenicy, to najdrożej dwadzieścia złotych.”

„No!—to też mówił dalej Stach—zboże za bezcen, a tu trzeba na podatki, na różne potrzeby; więc co tu robić? Trzeba kartofle sadzić i wódkę z nich pędzić, a czém więcej, tém lepiej.—Ależ już im tego nie pamiętajmy; bo też teraz to co tylko mogą to robią; nie żałują ani wydatku, ani różnych ambarasów. Nie mówiąc już o lekarstwach, bo te z dawien dawna dawali, ale czy to źle teraz takie izby, co to nazywają Ochronką, gdzie dzieci się bawią i uczą? Albo te składki co między sobą robią, żeby nagradzać tych co dobrze gospodarują? A teraz znowu jaką oni dobrą

rzecz wymyślili, że posyłają do nauki kobiety żeby były lekarkami! Mój Boże, przecie to moja powiada, że jej matka nieboszczka, umarła z tego że nie było takiej we wsi.”

„Albo to jedna—przerwała wójtowa—marnie zginęła! Bo choć nie można mówić żeby pani starsza nie dawała ratunku, ale nim z miasta przywieźli doktora, to już i po czasie; albo też i tak bywało że nawet i do dworu znać nie dali, tylko same co chciały robiły, jak umiały mordowały chorych; mojej siostrze jak zaczęły garnuszki stawiać i wódkę z miodem palić i dawać, tak ją zamęczyli.—Ja tam nie wiedziałam czy to źle czy dobrze; myślę sobie, trzeba do pani dać znać. Pani zaraz sama przyjechała i po doktora posłała; to doktor tak się gniewał że aż chciał bić za garnuszki i za wódkę; tak pamiętam i pani krzyczała, ale już się nie wróciło: troje dziełek sierot zostawiła i pomarła! Oj to dobrze że będą takie lekarki; żeby tylko wybierali dobre, trzeźwe kobiety do tego.”

„Jeszcze tej—odezwał się Stach, co ją powieźli do Warszawy, tej wdowie po gu-

miennym nie można zarzucić: kobieta nie stara jeszcze, a roztropna, trzeźwa, bo to ona kiedyś u pani starszej dziewczyną była, a wiadomo jak to pani pilnowała ostro, a rozumu uczyła. Dobrą wybrali, nie ma co mówić, a tam w tej szkole zapłacili za nią kilkaset złotych, bo ona tam już jeść, spać i uczyć się będzie.”

Kiedy tak rozmawiają, aż tu drzwi otwarły się z trzaskiem i wpada Marynka, młoda dziewczyna, co u pani w garderobie jest za pokojówkę; dobra dziewczyna, ale żywa jak wiatr; czasem co zpsoci, ale że zaraz przeprosi, to i pani i pani Lipnicka lubią ją okrutnie, bo do roboty, do posługi na jednej nodze. Przy tém niczego: oczy czarne świecą, jakby dwa węgle, to nie jeden koło niej się zakreści, ale ona ho! ho! nie pozwoli przystąpić.

Co to raz było śmiechu: przyjechał z Warszawy ten Guwerner co to Julcia uczy, i znać myślał sobie, że cóż to wiejska dziewczyna: — to ona ani wstydu, ani uczciwości nie zna. — Spodobała mu się Marynka, tak zaczyna do niej głupstwa gadać; ona tam coś mu odburknęła, ale

on nie zrozumiał. Więc razu jednego, ona wychodzi z garderoby, jak to te sionki tam są, wicie z tamtej strony od ogrodu, a on tam widać czekał, i łap ją. A ona jak się zamierzy, jak go trzaśnie w twarz, tak pani Lipnicka powiadała, że w oknie słyszała, bo otwarte było; a pani akurat na wstyd jego i na szczęście Marynki, wychodziła z garderoby do tej sionki, i też słyszała. — Ale pani nasza, co to bardzo delikatna, tak udała że nie widziała i nie słyszała; ale się okrutnie do pani Lipnickiej śmiała, a Marynkę pochwaliła, ugłaskała, dała jej na śliczny gorset i fartuch i od tego czasu Marynka pierwsza faworytka. To też teraz Marynka głowę do góry nosi; ani do niej gadaj, powiadają.

Otóż ta Marynka wpadła jak piorun do chaty i zaczęła wesoło, pochwaliwszy Boga, mówić: „Takem się spieszyła żeby was tu jeszcze zastać wszystkich; prosiłam pani Lipnickiej żeby mi pozwoliła, i pozwoliła; ale nie mogłam się uporać to z dziećmi, to ze sprzątniem. A co wy tu robicie? ładnie się bawicie? Paraska czy opowiadała bajki? Mówiłaś Parasiu o tej ładnej

dziewczynie co to ją ukradli?" Marynka tak jednym tchem mówiła, że jej trudno było odpowiedzieć; aż Felek przerwał jej mówiąc: „Ot my tu tylko o tobie gadali: wszystko gadaliśmy że *Marynka choroszynka* ale strasznie harda; to też choćby już czas było o weselisku pomyśleć, coś nie słyhać; coś będzie *siadź grzybie, nikt cię nie zdybie*.”—„O jak się pomstuje na mnie, żem jego brata nie chciała—odpowiedziała zaczerwieniona Marynka.—Nie chciałam, coraz prędzej mówiła, i nie chcę, bo niestatek; bo co mnie po takim. Sama pani mówiła: Szkoda cię Marysiu dla niego! Ale kiedy wy macie dokuczać, to bądźcie zdrowi! Potom się śpieszyła jak głupia, żeby mną lada parobek poniewierał!” To mówiąc, poskoczyła do drzwi i byłaby tak prędko wyszła jak przyszła, gdyby ją dziewczęta nie pochwyciły. „Marysiu Czarnusiu—tak ją nazywali że czarnobrewa była, — ostań z nami; my tak ciebie wyglądają! Felek zwyczajnie jak go znasz: zawsze coś tam lubi przymawiać; on tak żartuje.” Felek przyskoczył i rzekł, ukłoniwszy się, tak że ledwie mało nosem

ziemi nie dotknął: „Ale ja żartuję; niech się wasze nie gniewa. Ot jeszcze jest miód w gaśiorku: napijem się na zgodę.” Poskoczył, i wszystko jakby udając jakiego lokaja, wziął kieliszek i znów z partesów podaje Marynce. Marynka rada nie rada, musiała się roześmiać, bo bardzo Felek był śmieszny; napiła się troszkę miodu, dali jej to pieroga, to bułeczki i posadzili na ławie. — Jak siadła, tak Felek znów: „Patrzcie! będzie z nami siedzieć Jasna Panna! Jeno chłopcy z daleka od niej, bo będzie z wami jak z guwernerem.”

„Cicho ty grzechotko!—zawołała pół żartem a pół na prawdę gniewająca się Marysia—i kiedy coś miała mówić, przerwał jej stary Jakób:—„Cicho chłopcze! Nie sprzeciwiaj się Marynce: bodajby wszystkie we wsi naszej były takie harde jak ona. Oj powiadam wam, że póty u nas dobrze nie będzie, póki jak to dawniej bywało za pani Podkomorzyny, co rzadko się znalazła zła dziewczyna. Ale też to bywało, jak która źle postąpiła, to na środku wsi różgi brała. A teraz, Boże

odpuść, chyba by wszystkie tego były warte."

„A pfe! co wy też mówicie mój stary ojcze — zawołała wójtowa:—chyba wam miód głowę zawrócił, że tak nastajecie na nasze dziewczęta."

„Ja tam nie mówię ani o waszój, ani o tych co tu są:—ależ powiedźcie czy dużo takich? Czyż to sromoty nie dość widzieć? To dalipan wstyd nawet tracą; nie wstydzą się nawet jak źle robią.—Oj kara Boska wisi, jak się nie poprawią. Boć dzięki Bogu, w naszej wsi trzeźwość zakwitła; żeby jeszcze tak skromność i uczciwość w kobietach poczęła kwitnąć!—Ale jak to ma być, kiedy oto jak która się pilnuje, to jeszcze chłystki takie żartują z niej; oni by chcieli Sodomy i Gomory i żeby potem ognisty deszcz Pan Bóg na karę zesłał."

To mówiąc, stary aż się zatrząsł z gniewu; a że wszyscy nawet młodzi szanowali go i bali się, więc Felek poskrobał się za ucho, skłonił się staremu i powiedział: „Nie gniewajcie się i tak źle o mnie nie trzymajcie. Ot zwyczajnie, choć tu nie było czém się upić, ale że człek to parę

razy po kieliszku miodu wypił, to znów piwa, więc choć dzięki Bogu nie spił się, ale mu się czupryna zagrzała: to wtedy jedenby żartował, a drugiby się gniewał." I mrugnął okiem nieznacznie, że stary dla tego się rozgniewał.—„Widzicie ojcze—mówił dalej,—że gdybym ja nie dbał o statek w dziewczynie, tobym wziął Jewkę od Michałowój; przecie ona będzie miała dobre wiano, a mnie tam chcieli; jakim wziął te pieniądze za orkę, to jeszcze bardziej przysyłałi do mnie."

„Ot wielka rzecz! Na żonę to kaźden chce spokojnej kobiety, bo i cóż mu po wszystkim jak niestatek w domu?—Ale to nie o tém ja gadałem. Ja wam mówić będę jak Bóg przykazał, jak na ludzi przystało; nie kuście do złego jak szatany, a Bóg wam będzie błogosławił. — Jak się znajdzie taka uczciwa dziewczyna co się szanować umie i nawet żartów brzydkich nie przyjmie, to wy nie ośmiewajcie jój: jeszcze i owszem."

„Bóg świadkiem—ozwał się znów Felek—że ja dla tego chciałem, żeby mój brat z nią żenił się, że myślałem sobie, kie-

dy on trochę niestatek, to jak weźmie taką porządną, pracowitą dziewczynę, to się sam odmieni.”

„Ale dajcie pokój—przerwała wesoło Marynka:—ja się przecie nie gniewam; korona mi nie spadła. A wy ojcie też się nie gniewajcie; dziękuję wam, że wy tak zawsze na mnie łaskawi; Bóg wam zapłać! A teraz powiedzcie, jakieście się tu bawili? Bo ja nie byłam, choć mi dusza piszczala. Czy gadali bajki?

„Nie żadne bajki, moje dziecko—ozwał się stary Jakób,—ale lepiej, bo prawdy różne opowiadali; Stach nam różne rzeczy gadał.”

„Już to prawda—dodał Marcin, że jak Stach między nami, toby człek jeno siedział do dnia białego a słuchał: tak te różne historye umie opowiadać.”

„Jaka szkoda żem nie słyszała.—Powiedzcie co jeszcze Stachu!—mówiła Marynka.—Wy Parasiu! no! wy powiedzcie co! czy o téj sroce co kradła, czy o wilku;—prędko! powiedzcie nam jaką bajkę!

„Powiedzcie Parasko!—wołali inni.

„Ale co ja mam wam bajki gadać? to już je chyba na pamięć umiecie—odpowiedziała Paraska.—To już kiedy mam koniecznie co mówić, to wam powiem prawdziwą historyę, która się zrobiła tam za Lublinem, a którą pani Lipnicka opowiadała—To niech Bóg zachowa, co to za dziwne rzeczy! Żebym tylko mogła wszystko spamiętać, tobym opowiadała; ale doprawdy że się boję: bo to różne tam są takie rzeczy, że ja pewno nie spamiętam i nie potrafię.”

„Ale co tam—wołała Marynka a za nią inne:—jak tam spamiętaliście tak powiedzcie; cobyście mieli nie potrafić! — Nam to wszystko jedno, czy tak czy owak, byleście powiedzieli co to takiego straszego w téj historyi.”

„No kiedy chcecie koniecznie to opowiem.”

I zaczęła gadać.

IV.

HISTORYA O SIEROCIE BOGU-MIŁEJ.

Tam podobno aż pod Hrubieszowem, w jednej wsi była kobieta jeszcze nie stara; nazywała się, zdaje mi się, Maciejowa. Póki mąż jój żył—a był wielce stateczny człowiek i uczciwy,—póty o niej nie złego słyhać nie było. Bo mąż zawsze nagaśniał ją do roboty, a odganiał od karczmy; jak spotkał że tam biegła z jajami, czy z serem, to on na nią: „A do dzieci! do domu! dam ja ci tu.” Więc ona, że młoda była, obawiała się jego, bo jego wszystko było, a ona nic nie miała. Mieli dwoje dzieci: chłopca Iwanka i dziewczynkę Marysię.—Razu jednego pokładli się spać; on spracowany tego zasnął, a ona wstąpiła

idąc z pola do karczmy, póki on nie wrócił i nie widział, i wypila sobie dwa półkwatki;—więc choć nie była pijana, ale też tego usnęła; a tak się spieszyła położyć, że ani uważała jak ogień gasi: że jeno z wierzchu zagarnęła, zatkała babą komin i kontenta; bach na tapczan, i zasnęła jak nieżywa. Tymczasem kawałtoko łuczywa zagarnęła w żarzewie, i zaczęło się palić; grochowiny suche, w niedobrze zawiązanym gałganie, zajęły się od łuczywa i cała baba zaczęła się w kominie palić; od niej zapaliły się w górze sadze, a od sadzy dach słomą pokryty, a zwyczajnie wszystko suche zajęło się w momencie.—A tu niebożęta spią w izbie, i ani wiedzą że się dach palić zaczyna;—z tych grochowin i sadzy okrutny się dym i swąd w chacie zrobił.—Tylko Marysia, jakby ją anioł obudził, zerwała się, choć to było dziecko, dopiero trzy latak miała, i zaczęła krzyczeć, płakać i wybiegła ze swojej kołyski i ciągnęła ojca za nogi. Obudził się ojciec, poczuł że dym dusi, aż mu głowę zawraca, zobaczył przez okienko, że jakieś światło jakby luna.—Jak się zerwie, jak krzyknie

gore! gore! tak i ona się zbudziła.—Myślał biedak że to nie u niego ogień; chce wybiedz żeby lecieć na ratunek, aż tu we drzwiach już słyszy że mu nad głową trzaska ogień.—Wraca żeby dzieci i chudobę ratować; krzyczy ratujcie! gore!—Nim się ludzie zbiegli, zgorzała chałupa ze wszystkimi rzeczami, które w komorze były; a choć stodołę i oborę uratowali, ale tylko drzewo, bo zboże wymłócone miał w komorze, a reszta spaliła się. Tylko ściany porozrywali, żeby się druga chałupa nie zajęła; woły wyprowadzili, a krowa z cielęciem przepadła. Dość że mało co ocalało; a co najgorzej że Maciej ratując dzieci i co mógł więcej, tak się poparzył, jak się na niego paląca belka zwała, że trzeciego dnia umarł.

Jak Maciejowa sama została z dwójkiem dzieci bez żadnego sposobu, tak się zrazu upamiętała. Poszła w komorne do gospodarza i pracowała; ale nie długo tego było. Co zarobiła przez zimę to przedzeniem, to praniem, to i przepuściła; a tak coraz większy ją do gorzałki smak brał, że już nie mogła dnia bez niej wytrzymać.

A tu na dwoje dzieci nie wystarczało, bo co raz mniej robiła, a więcej w karczmie siedziała; bo już nie było męża żeby ją napominał i do domu zaganiał. Iwanek biegał za matką, ale Marysię jak raz z sobą wzięła, tak musiała do domu prędko wracać, bo dziewczynina tak płakała, a matkę ciągnęła, że nie mogła Maciejowa jej dać rady, i już odtąd nie brała jej z sobą.

Razu jednego, Maciejowa siedząc w karczmie od samego rana, sprzedała ostatni sukman, tylko to co miała na sobie pozostało. Iwanek kręci się koło niej i płacze; prosi jeść, bo już dwa dni jak gotowanego ani matka, ani chłopak nie jedli. Żołnierze przychodzili też do karczmy, bo szli do Hrubieszowa i tam mieli dniówkę. Tak jeden pyta się: co tak płacze ten chłopak?—A Maciejowa porządnie pijana, jak zacznie narzekać na chłopaka, przeklinać, odpychać, mówiąc że ona sama nie ma co jeść, a ten ją męczy, jakby ona miała schowany dla niego obiad. Żołnierz zaczął Iwanka głaskać, a rozpytywać się, zwyczajnie bawić się jak z dzieckiem, i kupił mu bułkę; chłopczyna kontent, już się je-

go trzyma, i plecie mu co umie, bo miał lat pięć blisko.—Żołnierz się śmieje, kontent także z niego, i mówi do Maciejowej: „Ot wiecie co kobieto: nie macie co dawać jeść chłopcu, nie lubicie go: sprzedajcie mi go, to ja wyhoduję sobie.”

„A dobrze—odpowiedziała pijana Maciejowa;—a ileż mi dacie?” I zaczęli się umawiać—i na końcu targ w targ, i sprzedała go za cztery złote (1).

„Ach to nie może być!—przerwali opowiadanie Parasce Wójt i inni.—To nie może być, żeby matka dziecko własne sprzedawała.”

„To nie matka go sprzedawała—odpowiada Paraska,—jeno wódka.”

„Przecie nie musiała być bardzo pijana i bez pamięci, kiedy się targowała”—ozwała się Wójtowa.

„Zapewne; ale wódka zabiła w niej miłość do dziecka. Ona tylko o tém myślała z kąd wziąć na wódkę. Zresztą ja tam nie wiem, jak ona to mogła zrobić, ale

(1) To okropne zdarzenie stało się we wsi Hrebenném pod Hrubieszowem.

wiem że zrobiła; bo państwo znają dzieciów téj wsi gdzie się to stało”—odpowiedziała Paraska.

„No więc jak się potem zrobiło? Czy żołnierz zabrał dziecko? Powiedzcie kumo jak dalej było?”—prosiła Wójtowa. A Paraska tak dalej mówiła:

„Jak już przybili targu, tak żołnierz kupił matce wódki w dodatku, zapłacił cztery złote i bierze chłopczynę, któren coś widać zrozumiał, bo zaczął płakać. Ale matce nie zabołało serce na płacz dziecka; wódka w niej serce zalała. Wzięła cztery złote i poszła z karczmy do domu, rada że będzie miała za co pić. Jak wróciła do domu bez Iwanka, tak zaraz zaczęła płakać Marysia, a gospodyni się wypytywać.—Maciejowa nie śmiała powiedzieć że sprzedała własne dziecko, jeno powiedziała że go wziął żołnierz na opiekę i dobrze mu będzie.—A jak zaczęli na nią w chałupie wszyscy krzyceć, tak ona się tłumaczyła, że nie ma go czem żywić, że dziewczynie z litości gospodyni jeść daje, a chłopcu nie; ona też go oddała. Szczęściem dla Iwanka, dziedzic téj wsi był do-

bry bardzo pan, przystępny; jak się co złego we wsi działo, zaraz musiał wiedzieć. Więc nazajutrz gospodarz wstąpił do karczmy spytać się czy prawdę Maciejowa powiedziała, a dowiedziawszy się jak i co, poszedł do dworu i powiedział co się stało. Pan natychmiast posłał do Hrubieszowa do starszego z pieniędzmi i odebrali dziecko od żołnierza.—Słyszę jak przywieźli Iwanka biednego do dworu, to panienki śliczne jak anioły, córki dziedzica i sama pani, aż płakały nad nim, i już go matce nie oddały, tylko się dotąd we dworze znajduje. Ale pan sprawiedliwy nie puścił płazem Maciejowej: kazał ją publicznie na środku wsi ukarać. Zmiarkowała się dopiero wtedy, że gorzej niż zwierzę zrobiła i zaczęła się wstydić i pomyślała sobie: nie ma tu już co robić w tej wsi: wszyscy mnie będą palcem pokazywali; pójdę sobie w świat na zarobek. I poszła wzięwszy z sobą Marysię, która wtedy 4-ry lata miała.

Poszła Maciejowa aż o kilka mil; nadchodziło żniwo i pomyślała sobie że dużo zarobi. Ale gdzie tam; jak kto się raz roz-

próżniaczy, a rozpije, to bardzo trudno aby się sam poprawił. — Zrazu pracowała, ale zaraz połowę zarobku przepiła;—nareszcie zapadła w ciężką chorobę, co się nazywa zapalenie. Cyrulik jej krew puszczał i niekazał pić wódki ani piwa; ale ona tylko do tego gust miała; prosiła komornicy drugiej, i ta jej przyniosła wódki; wpadła więc w straszną gorączkę; plamy sine powystępowały na nią i umarła. A mała Marysia siedziała nad nią i płakała. Było to w wiosce do Księży Bazylianów należącej; więc pochowali Księża Maciejową darmo, a biedną Marysię wziął gospodarz jeden do siebie, bo mówił: mam dwóch chłopaków a nie mam dziewczyny; niechże się i dziewczyna między nimi chowa. Ale cóż, kiedy na nieszczęście Marysi, gospodyni okrutnie zła była; tak że właśnie chłopcy się jej bali, a cóż dopiero biedna sierota; to też ona tam przepłakała nie jedną godzinę, a nawet noc nie jedną. Do tego chłopaki były swawolne, to znów nie raz dokuczali jej.—Marysia wszystko cierpliwie znosiła, tylko w cichości płakała i modliła się; bo ją nauczył pacierza świę-

tobliwy dziadek co do gospodarza przychodził. Dziadek był ze wsi okolicznej, w której był szewcem, tak pocziwym że go ludzie za świętego mieli. Najczęściej ten idzie na dziada co był za młodu ladaco, próżniakiem; a tu nie tak: on był pracowity, pocziwy, tylko tak sobie powiedział: póki mogę pracować to będę pracował, a jak mi ręce ustana, a oczy mgła zasłoni, to wezmę torbę, będę się modlił, a gdzie przyjdę dostanę kawałek chleba; ludzie mi go nie pożałują, bom go nikomu nie chciałem odebrać, nikogo nie pokrzywdziłem.

„Poczekajcie Parasko—zawołał Jakób; to ja znałem tego szewca starego i nie raz myślałem sobie, co się też to z nim stało? Oj to prawdziwie był święty człowiek; zdaje się—mówił dalej Jakób—że Pan Bóg chciał na nim cud pokazać, żeby się inni ludzie nawracali. On ani czytać ani pisać nie umiał, a wszystko wiedział co w piśmie świętym nakazano; wszystkie Ewangelje umiał na pamięć” (1).

(1) Ten szewc wiejski, imieniem Jan Wróblewski, żył we wsi Czulozyce, gdzie go dotąd pamiętają, a za życia świętym go wieś cała nazywała.

„Czyż wy go na prawdę znali? Gdzieście go spotkali?”—zapytał Stach.

„Długo byłoby o tém gadać. Ot jakimś raz aż do Chełma odstawili pszenicę, mnie w drodze wół okulał; trzy dni siedziałem mta we wsi pod Chełmem, i ten Wróblewski buty mi naprawiał i sześć groszy wziął za robotę, choć całe poprute były. A jak zaczął mi gadać o miłosierdziu Bożem, to ja dalipau jak świętego słuchałem! Żebyście poznali co to był za człowiek, to wam opowiem czego byłem świadkiem.

Taki świętobliwy człowiek miał łaski u dworu; więc pani jego miłosierna, w całej okolicy znana, chciała mu pomódz, to pieniędzmi, to zbożem; to on nigdy nie chciał nic wziąć darmo, jeno albo na odrodek, albo czasem na pożyczkę. Bo mówił: że póki mogę pracować to grzech brać darmo; bo to co mnie dadzą, lepiej niech taki dostanie co kaleka — Jak ja takim będę, to wtedy nie będę się wstydział jałmużny. — Otóż raz potrzeba mu było skóry: idzie do swojej kochanej dziewczeczki za Chełm i pożyczka rubla od niej;

wracając do domu wstępuje do Kościoła Bazylianów, gdzie cudowna Matka Boska, a był tam wtedy odpust.—Idzie i klęka do spowiedzi, a gałganek, niby chusteczkę w której róg związał rubla, kładzie na murku niedaleko.—Wyspowiadawszy się, chce wziąć szmatkę, aż jój niema!—Jakiś bezbożnik nie bał się domu Bożego i wziął ją!—Jak nie znalazł rubla biedny Wróblewski, tak dopiero w płacz! Ja patrzę przed kościołem aż on ręce łamie i płacze...”

„A widzicie — przerwała niewiastka Jakóbowi: choć tak świętobliwy, a za rublem płakał. A jak ja płakałam za jałówką, toście na mnie łajali.”

„Alboż myślisz że on za rublem płakał? Wcale nie; ja sam zrazu tak myślałem, i zdziwiłem się i mówię mu: toć jeszcze dostaniecie drugiego rubla od swojej pani; czyż warto tak sobie zdrowie psuć — Oh! ja płacząc—zawołał—nad nieszczęśliwym człowiekiem, któremu ja do grzechu dałem sposobność: on z mojej przyczyny grzech śmiertelny popełnił! Gdybym ja nie kładł tam tego rubla, on by tak ciężko sumienia swego nie obciążył; a to ja mu się

stałem pokusą! Oh! biedny człowiek! Niechże go miłosierdzie Boskie ratuje!”

„Ażem zdurzał, dalipau—mówił dalej Jakób,—jakem to usłyszał; to było wielką dla mnie nauką i do śmierci tego nie zapomnę. Zacząłem go pocieszać mówiąc: że on może nie chciał ukraść; że tak jakby znalazł; że to może był jaki biedny człowiek co mu się zdawało że kto zgubił, zapomniał, a jemu jak by Pan Bóg zesłał. Jak mogłem tak mu tam gadałem, a on modlił się ciągle za tego, co mu krzywdę zrobił i żałował jakby brata stracił!—Jak się już uspokoił, co też on mnie nagadał! to niech mu Bóg da Niebo! Ba i tak ci on pewno w Niebie. Ale mnie to wszystko dotąd w sercu i sumieniu stoi, i wam mówię to na przykład: żebyście wiedzieli że to zdarza się spotkać takich ludzi, co umyślnie Bóg ich zsyła żeby się człek na nich zapatrywał.”

„Oj prawda! że to przykład—odpowiedzieli pokiwawszy głowami gospodarze i zamysliwszy się chwilę, zapytali:

„I cóż się stało z tym świętobliwym człekiem, nie wiecie?”

„Dowiadywałem się o niego, ile razy w tamtych stronach zdarzyło mi się być; otóż spotkałem go nawet w kościele w Chełmie, kiedy już mało co widział i z torbą na plecach, choć nie wyciągał ręki, stał i modlił się. — Ledwo mnie poznał, a ja patrzyłem jak na świętego; bo to jeszcze weseliej niż dawniej patrzył, jakby to nie torba na nim, ale trzos jaki ze złotem wisiał. Jakiem się go pytał, to mówił: „ha cóż! dobrze mi! Bóg miłosierny zawsze mi daje kawałek chleba; ani ja głodu, ani zimna nie znam. O! Niebieski ojciec nasz nikogo nie pokrzywdzi; jak tu zasmuci to tam pocieszy! Oby tylko dał dostać się do Królestwa Niebieskiego! Ha! jak wola jego tak dobrze.” Tak mi mówił z wesołością do Nieba oczy zwracając, że ja nie mogłem od niego odejść, jakby mnie co ciągnęło do niego. Nareszcie pożegnał mnie, poczęstował tabaczką, i ledwo nogami suwając, a kij przed sobą stawiając, poszedł staruszek do wsi swojej, gdzie jakem się dowiedział nie długo potem, jak dziecko zasnął; a Proboszcz tamtejszy suty mu pogrzeb wyprawił.—A teraz mó-

wił Jakób—skończ swoją historję o sierocie, bo nie długo czas się nam rozejść.”

„O! jeszcze! jeszcze!—zawołali młodzi. No! mówcie Parasiu—zawołała Marynka.

„Ale kiedy zapomniałam na czém stanęłam”—odpowiada Parasia.

„Oto mówiliście, jak dziadek Marysię uczył, a ona wszystkie biedy cierpliwie znosiła i modliła się.”

„Tak, tak, prawda—mówiła Paraska. Otóż ten dziadek, choć mało z domu wychodzić lubił, ale że to nie daleko, przychodził często, i różne rzeczy Marysi rozpowiadał, a ona wlepi w niego oczki i słucha.—I tak rosła rok za rokiem, a z każdym przybywało jęj pracy, bo gospodyni chciałaby była, żeby sierota za ten chleb co jadła, miała cztery razy więcej roboty. Marysia znośiła jak mogła, pracowała jak mogła;—a jak czasem zdawało się jęj, że nie dźwignie worka z kartoflami, albo jak ręce pomdlały, że nie mogła w żarnach kamienia obracać, a tu koniecznie kazała gospodyni zemleć, to ona zaraz ręce składa a modli się, modli—i żarna jakby same znów się kręca, a Marysia rada dziękuje

Bogu i cieszy się, że jak jój dziadek przyjdzie to mu się pochwali.

„Tak rosła sierotka, a choć w biedzie i pracy, choć nędzna i bladawa była, to taka śliczna, że kaźden się zastanawiał i mówili ludzie: Cóż to za śliczna dziewczyna! To doprawdy jakby królewskie dziecko! Bo co to za bieluchna; a jakie oczy: jakby w czyste niebo patrzył; o! a jakie włoski: to jak najbielszy, najcieńszy len; a cieniuchna jakby młoda sosenka. Chłopaki gospodarza, choć ją za siostrę uważali, wiedzieli że ona sierota a nie siostra ich, więc zaczęli do niej po kolei zalecać się; ale Marysia tak sobie z nimi umiała radzić, tak im o grzechu i o sądzie Boskim gadała, że po-tém żaden ani śmiał dostąpić i pożartować. Dziadka też się bali, bo im także nauki dawał, a sądem Boskim straszył. Razu jednego przyszedł dziadek, ale tak wolno szedł, a taki był blady, że Marysia zlekła się i pytać zaczęła: „Co to wam dziadulu? Ja pójdę za Chłem do waszój pani, żeby wam dała lekarstwa.” A dziadek jój odpowiada: „O! nie trzeba mnie lekarstwa moje dziecko! nie trzeba.” I tak się zaśmiał

radośnie, że Marysia pomyślała, że pewnie zdrów być musi.—A on jój dalej począł tak mówić: „Może mi Bóg nie da już do ciebie tu chodzić; słuchaj więc moje dziecko co ci powiem. Ty jesteś sierota Bogu-miła, bo wypełniasz przykazania Jego i boisz się grzechu; otóż staraj się do końca życia, tylko jego się obawiać, bo nie ma nic straszniejszego jak grzech. Jak zboże od zarazy, tak dusza człowieka od grzechu jak raz zczarnieje, to się z jasnością Boską już połączyć nie będzie mogła; jak noc ze dniem, tak nieczysta, czarna dusza z jasnością Boską połączyć się nie zdoła. Więc moje dziecko, strzeż czystości duszy twojej; uciekaj od grzechu bardziej jak od śmierci!—Masz lat szesnaście, sierotą jesteś; ani wiesz przez jakie próby iść będziesz musiała; ale nie lękaj się: Bóg nikomu krzywdy nie uczyni; zasmuci i pocieszy, byle człek nie zgrzeszył; bo wtedy nie ma pociechy. Ojciec Niebieski zawsze za dobre wynagrodzi; On każdą łzę porachuje. Jak cię nieszczęścia przycisną, to pomyśl sobie: Ojciec Niebieski nie da mi krzywdy zrobić, czy tu, czy tam; On mnie

pocieszysz i wynagrodzi. Bogu ufaj, od grzechu uciekaj, a będziesz zawsze Bogu-miłą."

„Jak to powiedział, tak pożegnał Marysię i wyszedł; a ona stanęła zrazu jakby to właśnie nie człowiek do niej mówił;—dopiero się opamiętała jak wyszedł, i zaczęła go wołać: Dziadulu! dziadulu, i chciała go gonić, ale nie mogła; tylko z daleka między krzakami migotała torba biała na szarej sukmanie.—Co się zrobiło dziadkowi—mówiła do siebie,—że tak prędko popędził do domu, jakby go co gnało? Dzięki Bogu że jakiś żwawy, a ja zlekłam się czy nie chory.—Już to ostatni raz widziała dziadka Marysia; biednej sierocie zbrakła ta ostatnia pociecha!

„Napróżno go codzien wyglądała; aż dowiedziała się w końcu, że umarł zaraz na drugi dzień, jak był u niej i u spowiedzi u Matki Boskiej. Ciężko płakała Marysia, jakby za rodzonym ojcem. O! ja biedna sierota — mówiła!—przed kim ja się teraz uzależ! Kto mnie pocieszysz! kto mnie radą poratuje!—I tak płacząc, zasnęła nieboga; a we śnie dziadek, cały w bieli, jakby ze chmur, spuszczał się ku niej, i powiada:—

„Nie płacz moje dziecko! nie narzekaj, że cię nikt nie pocieszysz, że cię nikt nie poratuje:—Bóg cię pocieszysz, Bóg poratuje, ile razy z wiarą i ufnością prosić go będziesz.” Obudziła się Marysia cała w trwodze, ale razem jakoś lekko i miło zrobiło jej się na sercu.—Chyba mój dziadus w Niebie—mówiła sobie,—kiedym go w takiej białości widziała; chyba on tam za mnie Boga prosić będzie.”

„I od snu tego przestała płakać Marysia, bo zdawało się jej, że chociaż nie widzi dziadka swego, to on jest przy niej; a przypominając sobie, jak to on jej rozpowiadał, że przy każdym człowieku jest czysty anioł stróż, który strzeże człowieka i od grzechu odwodzi, i póty jest przy człowieku, póki człek ciężkimi grzechami nie odpędzi go od siebie.—Tak Marysia rozmyślając co jej gadał, jak ją nauczał, pracowała ciężko a modliła się gorąco i coraz jej praca łatwiej szła.

„Tymczasem na jesieni, przyszło wojsko.—Nie daleko chaty, gdzie była Marysia, stanął starszy; bo tam była większa izba z komorą, i dzieci nie było. U gospo-

dyni Marysi była krowa co dużo mleka dawała, tak starszy przysyłał po mleko co dnia; a że nie zawsze miał drobne pieniądze, to i bez pieniędzy posyłał, a jak się dużo nazbierało, to razem zapłacił.

„Dnia jednego choć wziął mleka starszy i powiedział, że przyśle za wszystko co się należy,—nie przysłał. Tak gospodyni mówi do Marysi: „Idź prosto do starszego o pieniądze, bo mi trzeba tkaczowi zapłacić, a nie ma czem.”—„Ach kiedy ja nie śmiem iść”—odpowiedziała Marysia.—„Co to nie śmiesz? Kiedy ci każę to idź; nie zje cię; skłonisz mu się i powiesz: Przepraszam wielmożnego, ale gospodyni trzeba bardzo pieniędzy, więc mnie do pana przysłała.” Marysia posłuszna poszła, bo cóż miała robić.—Nadszedł gospodarz i znów ją chciał posłać sam po coś tam;—tak pyta, gdzie Marysia?—Jak mu żona powiedziała, że już dawno jak Marysię posłała, tak on na nią: „Oj! kobieto Boga się nie boisz! żebyś miała swoją córkę, czybyś ją posłała tak do oficera? Czy to nie wiesz co to wojskowi.”

„Gdy tak mówił, weszła Marysia jak ta piwonja, co to nią ołtarze stroją.—„A tobie co?—zapytał gospodarz.—„Czy cię tam lichy trzymało?—dodała gospodyni.”—„Oj pewnie że lichy—odpowiedziała Marysia z płaczem.—Nazartował sobie, że człowiek aż nie wiedział gdzie oczy schować.” „To było zaraz wracać—ozwała się gospodyni.” „Ale kiedy posłał do karczmy zmieniać, a mnie kazał czekać; a jakim się rozgniewała i iść chciała, to mi ode drzwi zastępował, a wszystko żartował i pokazywał złote pieniądze w woreczku. Tak ja stałam i modliłam się;—to też nie śmiał mnie zaczepiać, tylko gadał.—Aż przecie przyszedł z rublami i ja poszłam.”

„No i czegoś się mazgaisz?—krzyknęła gospodyni—i cóż ci się stało?”

„Tak płaczę, bom sierota, to choć w ogień, to muszę iść kiedy każą.”

„Nie bój się moje dziecko—powiedział gospodarz;—nie pójdziesz tam więcej.” I na prawdę nie posłali jój, ale to nic nie pomogło;—bo się oficer przyczepił tak, że jój przejść nie dał i obiecywał jej złote góry, żeby tylko dla niego dobrą była.—Ale Ma-

rysia była głuchą na wszystkie pokusy, bo się bardziej grzechu bała niż śmierci.

„Aż razu jednego, przychodzi do niej świekra gospodarza, którą oficer przekupił, i poczyną ją namawiać: że kiedy ona sierota, nie ma nikogo, coby o niej pamiętał, to niech nie gardzi bogatym panem, który jój da posag.—A jak Marysia jój powiedziała, że choćby jój dał wszystkie skarby świata, to ona woli cnotę niż sromotę,—tak świekra dopiero zaczęła ją żałować: „Oj bieda ci będzie, bieda moja gołąbko! Nie ujdiesz ty jastrzębia! Sam mi powiedział, że jeśli nim pogardzisz, to on ci tego nie daruje, i ani się spodziewasz, jak cię każe żołnierzom złapać i wychłostać, że nie wstaniesz.—Masz wóz i przewóz, co wolisz? Ot mówię ci: każda coby miała rozum, toby poszła do niego; pan, młody, ładny, dukaty ci będzie dawał i będziesz szczęśliwa.”

„Jutro się dowiecie co zrobię—odpowiedziała Marysia.—A że mówiła spokojnie, uradowała się stara świekra, istna czarownica—i poszła.

Biedna Marysia załamała ręce jak odeszła baba, ale stanęły jój w myśli słowa dziadunia: „Uciekaj od grzechu bardziej jak od śmierci;” i tak jakby jój coś szepnęło: *Uciekaj!* Ale gdzież ja pójdę biedna sierota?—mówiła, i zaczęła się modlić.—A potem poszła do chaty, wywołała pod jakimś pozorem gospodarza, i za stodołą stanawszy, tak że nikt nie wiedział i nie słyszał—pada mu do nóg i mówi: „Dziękuję wam gospodarzu za chleb i sól; niech wam tu Bóg błogosławi! Ja w świat iść muszę; Bóg nie opuści sieroty!” Zdziwił się gospodarz; aż jak ona mu wszystko opowiedziała, tak pokręcił głową i zaczął powstawać na swoją kobietę, że to ona wszystkiego narobiła!

„Nie gniewajcie się na nią gospodarzu! Niech jój Bóg płaci, za to że mnie żywiła i do pracy naganiała; ja się teraz żadnej roboty nie zleknię; każdego mnie przyjmie. Nie mówię jój że odchodzę, boby mnie nie puściła; ale powiedzcie że ją błogosławię, i że jeśli mi Bóg pozwoli, to z wiosną jak wojsko wyjdzie, a roboty będzie wiele, to

ja wróć, żeby jój pomagać i do nóg padnę za to żem odeszła."

„Gospodarz ją pobłogosławił mówiąc: *idź z Bogiem* moje dziecko. Pozwolił jój wziąć nową sukmanę i chust parę, mówiąc, że to jój, bo przez tyle lat wysłużyłaś,—i nauczył do której wioski ma iść, nie daleko Sawina, bo tam miał krewnych; to jak powie, że za służbą od niego, to ją przyjma.

„Jeno bieda,—mówił—żeby się tutejszy wójt nie spytał."

„Co się ma pytać—odpowie:—przecie ja *zajszła*; ja sierota z całego świata; kto by się o mnie pytał? Nie bójcie się gospodarzu; a spyta, to powiedzcie, była, służyła i gdzieś poszła jak przyszła."

„Tego samego jeszcze wieczora, wy-miarkowawszy taką chwilę, że jój nikt nie dopatrzył, puściła się w podróż biedna sierota. Nie szła sama, bo szła z Bogiem; Krzyżem świętym się przeżegnała, medalik święcony co od dziadka miała do piersi przycisnęła, owinęła się rańtuszkiem, ręce w sukmanę schowała i szybkim krokiem puściła się ku Sawinowi. A nie

chcąc po nocy iść daleko, do poblizkiej wioski wstąpiła; ale nie zaszła do karczmy—co jój to było po tém,—jeno do gospodarza, powiedziała że idzie do krewnych, prosiła o nocleg, przenocowali ją, a przed świtem poszła dalej. Jak tak Marysia idzie a pyta drogi od wioski do wioski, tym czasem tam, zkąd wyszła wiekie zamieszanie. Gospodyni zrazu na cały głos pomstowała na niewdzięczną sierotę, tak że słyszeli i oficer i ludzie we wsi, którzy się dziwili, bo znali Marysię jak dobra, pracowita i skromna dziewczyna i różne zaczęli domysły robić. Gospodarz uspokoił kobietę, mówiąc że ona może przyjdzie. Ale jak osądził że już Marysia daleko, tak dopiero kobiecie powiedział prawdę, a przytém tak jój uszu natarł, że baba choć twardego serca, aż płakała.—„Co to sierota! mówił jój. Sierota to dziecko Bóże; bo prócz Boga nikogo nie ma! Słyszałaś jak to nie raz ksiądz Superior mówił o Chrystusie Panu, że tak powiedział:

„Że nie będzie w Niebie, rzekł Boskiemi słowy
Na kim ciąży iza jedna sieroty lub wdowy."

Albo to ona nieboga mało u ciebie iesz wy-

łała; a za to cię jeszcze błogosławi i teraz nawet, kiedy przez ciebie na tułaczkę poszła."

„Najbardziej gospodyni to do serca wzięła, że ona ją pożegnała i błogosławiła. Aż się sama przed sobą zawstydziała i w cichości przyrzekła sobie, że jak Marysia na wiosnę wróci, to lepszą dla niej będzie; nawet powiedziała mężowi: „taki już czas naszego Iwanka żenić; Marysia dobra dziewczyna, to go z nią ożenimy."

„Zaszła Marysia szczęśliwie do krewnych gospodarza;—ale oni nie mogli jej przyjąć, tylko powiedzieli jej, że pod Sawinem w jednej wsi, co już dawno oczynszowana, jest znajomy bogaty gospodarz, od którego dziewczka poszła za męża; teraz nie mają żadnej, to ją przyjmą. Przyjęli Marysię i bardzo z niej kontenci byli i dobrze jej płacili; ale Marysi tam nie miło było, bo się kłócili w domu i pili. To też choć synu gospodarski zalecał się do niej, ona go nie chciała, a tylko prosiła Boga żeby ich oświecił i nawrócił; a oni czasem słuchali i dziwili się, z kąd ona im takie rzeczy mówi jak z księżki, i czasem aż

gospodynię za sukmanę ciągnęła, tak prosiła żeby nie szła do karczmy. Ta czasem i usłuchała jej, a czasem i nawymyślała; Marysia z pokorą wszystko przyjęła i jeszcze więcej modliła się za nich.

„Tak prawie cała zima zeszła i już niedaleko było Wielkiej Nocy. Aż tu wójt gminny rozgniewał się na gospodarza że mu hardo odpowiedział, jak się pytał, co za dziewczynę trzyma z obcej gminy, i ostro mu zapowiedział, żeby ją do kancelaryi dostawił; że on z niej spisze protokół i każe do miejsca, z kąd jest, odprowadzić ciupasem. Ot i znów nieszczęście nad biedną Marysią; czyżby takiego wstydu miała się doczekać! A gospodarz, zwyczajnie jak człowiek co sobie gardło zaleje, zamiast prosić za nią, to mówił: „Nie doczekanie żebym się jemu kłaniał! Niech sobie ją odstawią; ja znajdę inną." Ale gospodyni lepsza była; uspokoiła Marysię, że pójdzie i za nią prosić będzie. Bo jak pierwój Marysia trafiła na dobrego gospodarza a złą gospodynię, tak znów teraz na odwrót: on był zły a ona dobra. Często zdaje się tak Bóg umyślnie dopuszcza,

żeby jedno drugiego od złego wstrzymywało, jedno drugie namawiało do dobrego.

„Poszła gospodyni z Marysią do kancelaryi; czekały długo, bo z okolicznej wioski i sołtysi przyszli z podatkami. A jeden z nich zapytał o Marysię z kąd ona; bo już ją nie raz widział w Sawinie, w kościele. Marysia też jemu opowiedziała jak ją gospodarz do krewnych posłał i na tém koniec. — Jak się już wójt gminny uwolnił z podatkami, kolej i na nich przyszła, tak dopiero zaczął na nich krzyżeć; aż gospodyni języka zapomniła. Ale Marysia podeszła do wójta, skłoniła się i zaczęła mówić z płaczem, że ona sierota, żeby jój téj krzywdy nie czynił; że ona pójdzie, jak on pozwoli, sama, i przyniesie świadectwo, albo też wróci służyć do tamtych gospodarzy, od których przyszła.

„Ale wójt bał się widać, więc powiedział: „kto ciebie wie coś ty za jedna; możesz co w swojej gminie ukraść, albo co, i dla tegoś uciekła.” Zaczęła się tłumaczyć że jój gospodarz pozwolił,—aleby to było nie pomogło, żeby nie inni ludzie. Jak zaczęli jemu przekładać, że to dziew-

czyna tak trzeźwa, że pobożna, pracowita, że ona widać prawdę mówi,—tak wójt nareszcie mówi; „No! to niechże zaraz idzie, żebym ja ambarasu nie miał.” Załowali wszyscy Marysi, a ona przez świekrowę przestraszona, także nie miała ochoty ze wszystkim wracać do dawnego gospodarza!—Myślała tylko sobie: poproszę o świadectwo, dostanę, bo dzięki Bogu nie tam we wsi złego nie zrobiłam, i zaraz przyjdę; a potem dopiero w lecie do dawnego gospodarza wrócę. Na drugi dzień, akurat była niedziela, Marysię jakby coś jakie przeczucie męczyło, i wszystko powtarzała, nie wiedząc dla czego: „Bądź wola twoja Panie! I pomyślała sobie: pójdę ja do spowiedzi; niech będę gotowa stanąć przed Ojcem Niebieskim; bo czy ja mogę wiedzieć co mnie biedną sierotę spotkać może.”

„Po spowiedzi wróciła do domu, zjadła obiad, zebrała rzeczy i pieniędzy trochę, co za te pół roku wysłużyła i zarobiła, pożegnała się i poszła. A było to w Marcu. Taki mróz tego dnia wziął się, jakby na nowo zima nadchodziła; a co gorzej, śnieg

tak miótt, że oczy zasypywał. Miała Marysia trzy mile zrobić; to nie taka to straszna droga dla nóg młodych. Jeszcze za widną minęła Sawin i szła sobie drogą; ale jak już karczmę malowaną minęła, że wszystkiem się zciemniło; — a śnieg tak drogę zasypał, że nieboga co miała iść drożyną do księżej wioski, gdzie był jej gospodarz dawny, ona poszła w lewo jak droga przez błotniste łąki prowadzi do miasta.

„Coraz ją gorszy strach ogarnia, bo słyszy jak wilki wyją!—Idzie coraz spieszniej, aż się w niej dech zabija. Jakieś światełko zda się okazywać, więc ona myśli sobie, to już nasza wioska. Ale jej dziwno że coraz jej ciężiej iść, bo nogi jej gdzieś tak zapadają, że jej wyciągnąć ich ciężko; a zimno ją tak przejmuje że aż ją sen morzy. Tak dopiero zmiarkowała, że ona gdzieś na błota weszła, aż pod same miasto w którym widać z daleka światło. Więc zwraca się ku światłom, jedno z poza domów wyraźniejsze spostrzega, tak że aż z daleka od okien świeci się śnieg do koła; myśli sobie:—no, to i dobrze, po

co mi iść do miasta? i tu ludzie znać mieszczą, to mnie przenocują. I idzie dalej nieboga. Gdy się ze wszystkich sił spieszy i zbliża do domostwa, z daleka słyszy jakieś głosy męskie; niby się jej zdaje, że jakby się śmieli, to znów, jakby kłócili, przeklinali.—Złękła się, ale idzie, bo chce co prędzej do domu, z kąd światło takie bije, dostać się. Aż tu przygląda się, a od światła z okien zaczyna się dokoła robić widno, i poznaje, że to dwóch obdartych jakby drabów idzie ku niej. I jeden mówi do drugiego: „Co ty mi tam gadasz, że zgubił: ja nie zgubił, tylko to pewno ta baba czarownica wzięła! oj gdybym ja ją złapał” —I zatoczył się, taki był pijany. Tak Marysia stanęła jak wryta; nie wie co robić; chce uciekać, ale ją zobaczyli i dalej za nią. Jeden ją chwyta za sukmankę, drugi zdziera rątnuch z głowy, a woła: „Toś to ty babo skradła moją czapkę. Dawaj sukmanę za nią.” Marysia krzyczy, że ona nie widziała, że ona cudza, idzie szukać noclegu bo zbłądziła.

„Ale gdzie to się kto z pijanemi dogada!
W karczmie, z której światło biło, tak na

skrzypkach rzępolili, tak pijani krzyczeli, że nikt nie słyszał krzyku biednej Marysi; a ona żeby się wyrwać z ich rąk, pozwoliła sobie zedrzyć sukmanę, a sama wyrwawszy się pobiegła w lewo, i choć nie wiedziała gdzie idzie po nocy, biegła, biegła, co tchu miała, aż na jakieś drzewo natrafiła i stanęła.—Pomacała drzewo i poznała że to był krzyż. Tak wtenczas padła na kolana i płakać i modlić się zaczęła, i prosiła Boga, żeby jeśli wola Jego, nie umarła tak na drodze, żeby jej ciało nie świeciło nagością. Jakos zrobiło się jej spokojniej i jakby cieplej; przytomność jej wróciła i pomyślała, że właśnie figura stoi na drodze do księżej wioski; że gdyby jej Bóg dał siłę iść dalej, toby i zaszła, byleby światło jakie pokazało jej drogę.—Ale gdzie tu sił wiać: tu mróz, a ona w koszuli, w gorsecie tylko i spódnicy; rąk nawet z głowy jej zdjęli! Tak idzie, idzie a modli się; w głowie się jej zaczyna mącić, a przed oczami to światło to ciemno jej się robi, tak że różne rzeczy jej się przywidują; i niby widzi że dziadus z torbą idzie przed nią, i że od tor-

by jego białej jakby jaka jasność bije i oświeca jej drogę. Więc idzie co ma tchu, aż widzi wyraźnie małe światełko z poza drzew;—tak zbiera siły i biegnie, jakby ją kto popychał.—Dopadła do chatki, stukła,—aż otwierają drzwi i wychodzi strasznie czarny człowiek. Marysia krzyknęła, ale jak się zaczęła przyglądać, tak poznała, że to węglarz, co pod lasem tuż przy jej wiosce mieszkał i ona go znała. Dopiero ręce składa i dziękując Bogu prosi o nocleg. Zdziwił się on i żona jego, która właśnie co tylko miała zgasić ogień, nim Marysia zastukała. Pytali jej to o to, to o owo, to o tamto, ale nieboga nie umiała odpowiadać, tak się jej w głowie mąciło, taka ją straszna gorączka rozpałała.—Położyła ją węglarka koło siebie na tapczanie, okryła, a ona zasnęła jak nieżywa; a we śnie zdawało się jej, że dziadus ją prowadzi i aż do domku czystego, nowego doprowadził ją, i mówi do niej: „Spoczniesz tutaj dopóki cię Bóg nie zawoła; spoczniesz żebyś Bogu i ludziom służyła, żebyś była przykładem, żeby ludzie wiedzieli że sieroty Bóg nie opuści; bo ona jeśli się Boga

boi i od grzechu ucieka, to jest Bogumiła.”

„Nazajutrz nie mogła Marysia iść do gospodarza swego, choć tak nie daleko było. Leżała bez pamięci, nie wiedzieć co gadała; zdawało się jój, że widzi swego dziadusia i domek, który jój pokazuje i mówi głośno: Och dzięki Bogu! Dobrze, dobrze że przyprowadziliście mnie do takiego domku jasnego, ślicznego: to on już mój będzie; to ja w nim odpocznę, pod tą gruszą usiedę, będę tu Boga chwaliła. Przekłękli się biedni ludziska! Tak co tu robić? Idzie sam węglarz do gospodarza, zkąd Marynka była i mówi wszystko. Zdziwił się i pożałował człowiek sieroty; przyjechał, owinęli w kożuch Marysię i powiózł ją do domu.

„Nie daleko była wieś śliczna, a we dworze pani miłosierna, co wszystkich kurowała, a jój córki same po chatach do chorych chodziły; więc zaraz do niej poszedł gospodarz. Pani zaraz kazała z Chelma doktora przywieźć, i zaczęli kurować Marysię. Dopiero w trzy tygodnie przysła zupełnie do przytomności, i opowiada-

ła, co to ona za przypadki przebyła; szczęściem że pieniądze, które sobie wysłużyła i zarobiła miała za gorsetem; więc choć te jój nie przepadły, i gospodyni rada była, że choć na sukmanę będzie miała. A że jój sumienie wyrzucało, że tak przez nią Marysia uciekać musiała, i że jak jój nie było, poznała że to trudno o taką drugą,—więc dobrą dla niej była, i wszystko jój mówiła: „Bądź dobrej myśli Marysiu: jak ci Bóg da zdrowie, to cię za Iwanka wydamy i będziesz niewiastką naszą; a jak wam Bóg dopomoże, to pójdziecie na swoje gospodarstwo.” Marysia słuchała i dziękowała gospodyni; ale jój się czegoś serce ścisnęło i smutek ją ogarniał jak tego słuchała.

„Nadeszła Wielka-Noc.—Marysia blada jak chusta, już chodzić poczyniała.—Aż tu w trzecie święto, kiedy sobie siedzą wszyscy za stołem, Iwanek trochę napiły drzemie na tapczanie, a tu zajężdża ktoś na podwórko i pyta na całe gardło: „Czy tu gospodarz Szumlak mieszka?” Wybiega gospodyni, a Marysi tak czegoś się zrobiło słabo, jak spojrzała przez okno; tak

jój serce bić poczęło, że nie mogła się ruszyć.—Aż tu wchodzą do chaty trzech gospodarzy w nowych sukmanach, w czapkach z baranami; a jeden z nich smagły, gładkiej twarzy, młody, z czerwonym pasem i czapką wysoką z siwym baranem. A najstarszy mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi!”—I dopiero powiada: „Oto syn mój upodobał sobie wychowankę waszą, i przyjechaliśmy o nią prosić; — co mieliśmy to swachów wysyłać, to wszystkie korowody robić, woleliśmy tę rzecz zrobić z *waszecia* i przyjechaliśmy sami.”—Marysia poznała w młodym Sołtysie tego, co to jak ją do Wójta wołali, on się wypytywał o nią i co już nie raz spotykała go w kościele, w Sawinie; on tam nie daleko miał swój grunt i nowo wybudowany dom (1).

„Krótko mówiąc, w miesiąc potem poszła Marysia za młodego Sołtysa; — bo gospodarze choć żalowali, że nie u nich zostanie, do woli jój zostawili, bo nie chcie-

(1) Sołtysi niedaleko miasteczka Sawina mają pewną ilość gruntu na własność nadaną przez Władysława IV Króla,—w nagrodę za waleczność w boju.

li jój losu zagradzać; a też wiedzieli że sołtysi, choć czynszu nie płacą, ani pańszczyzny nie robią, nie wszyscy się dobrze mają, i nie wszyscy statkują. Ale ten był jeden pomiędzy niemi co i bogaty i nie pijak i rządny;—a Marysia do niego serce miała, a widzieli, że dla Iwanka nigdy nie była chętna.

„Jak pojechała Marysia do męża i spojrzała na biały większy od innych dom, tak sobie wspomniała, że taki jak jój dziadus pokazywał we śnie,—że w nim spocząć miała.”

„Dzięki Bogu! że się tak skończyło—zawołała Marynka, gdy Paraska mówić przestała.—Doprawdy że mi aż serce biło, jak ona nieboga tak bładziła.”

„Już to prawda—ozwał się stary Jakób—że Bóg choć próbuje, to nie opuści i jeszcze w tém życiu nagrodzi tego co się grzechu boi. Postępujcie młode mnie staro i te słowa moje zachowajcie w pamięci, że gdyby tak wszystkie dziewczęta, jak Marysia, były czyste przed Bogiem i ludź-

mi, toby Bóg błogosławił i wszystkoby u nas szło dobrze. Na kobiecie wszystko polega; jak kobieta uczciwa, trzeźwa, gospodarna, to i męża do dobrego nawróci, dziatki dobrze wychowa, i błogosławieństwo Boże w domu panuje.—I potem taki człowiek sprawiedliwy, świętobliwy, coby się tak krzywdy ludzkiej bał, jak Wróblewski, nie byłby osobliwością; a nikt, ani młody, ani stary, śmierci by się nie bał, boby czuł, że duszę ma czystą, że długo mąk czyscowych nie będzie znosił."

„Mój ojciec—przerwał Felek wesoło:—co tam straszycie mękami czyscowemi.—Jużci pewnie, że za ciężkie grzechy, za ciężkie krzywdy, kradzieże, zabójstwa, to Pan Bóg musi karać; ale jak to człek zwyczajnie grzeszy, czy tém czy owém, to przecie Pan Bóg dobry: coby go tam miał karać! Ot właśnie nie przymiarkiem, jakby jaki pan na téj ziemi, kiedyby go sługa chciał okraść, albo spalić, toby pan takiego sługę na cztery wiatry wypędził; ale jakbym tak co nie wielkiego zpsocił, czy się tam czasem zabałamucił, upił, czy tam parę snopów dla swego konia wziął, toby mnie

za to nie karał ostro, nie wypędzał. To też i Pan Bóg nie będzie tam karał za nie wielkie grzechy; to też oto ja, zdaje mi się że się śmierci nie boję."

„Oj bredzisz, bredzisz Felku! Znać żeś młody, a w głowie ci świta i myślisz żeś rozumny, boś coś zasłyszał od ludzi co to pół rozumu mają. Kiedyś to i jam sobie podobnie myślał; ale jak mi Bóg dał łaskę i Wróblewski świętobliwy namówił, żeby zawsze Ewangelii słuchać i co ksiądz czyta i naucza potem,—takem się nawrócił i te rzeczy zrozumiał, i teraz wiem że to Bóg nie przepuszcza żadnego grzechu, nie dla tego żeby się mścił i karał, jeno że dusza nieczysta nie może się zbliżyć do jasności Boskiej; a jak ciało twoje smoli się brudem jakby węglem, tak dusza twoja smoli się grzechami. A Chrystus Pan powiedział: „że nic zmazanego nie może wejść do Królestwa Niebieskiego, jeno się pierwój musi oczyścić." Dla czegoż, jak tu szedłeś na dzisiejszą ochotę do równego sobie człowieka, jakieś to ugładził włosy, umył się, chędogo ubrał? Boś to czuł że nie możesz jak morus stanąć w jego chacie.—

A myślisz sobie że jak dusza twoja będzie brudna, czarna,—to nie nie szkodzi? to może się do jasności Boskiej zbliżyć? Oj nie, Bratku! Co jasne to zawsze osobno, a co ciemne to osobno; co innego noc, co innego dzień. Już tak Bóg odwiecznie rozporządził i to już się zmienić nie może; tylko trzeba do tych praw Boskich stosować się; trzeba starać się mieć duszę czystą, to wtedy mniej się człowiek człowiecowskich mąk będzie lękał; a to wiadomo że wszystkie tutejsze cierpienia są niczem w porównaniu z temi, co są w czyscu. A od czego to się nazywa czyszcieć? O! toć jasno zrozumieć że tam się dusza oczyszcza. A jak ciało zesmolisz, choćbyś nie koniecznie aż w grubą miał wleść, tak i duszę zesmolisz, choć nie okradniesz i nie zabijesz. Przecie to prawda i między nami odwiecznie wiadoma — jak to nie raz słyszeć można,—jak to jeden drugiego będzie czasem namawiał: „O! weź kilka snopów, albo miarkę żyta; kto tam będzie wiedział; pan dla tego będzie panem; nie ubędzie go.” A drugi jak chce być dobrym to mu odpowiada: „Daj mi tam pokój; tém

się nie zbogacę a jeno się opaskudzę.” O! do czego to on tak mówi? Bo oto czuje że ciężkiby miał brud na duszy i woli się nie *zwalać*.—To tedy Felku nie dufaj, nie myśl że ci nie straszno umierać, że cię Bóg przyjmie: bo może tam nie jeden brud, nie jedna plama na duszy twojej.—Pierwój więc, tak jak osobę swoją myjesz, oczyszczasz,—tak weź się do duszy twój: oczyść ją świętą spowiedzią, ale z poprawą, bo bez poprawy to na nic, i jeszcze lękać się czyś dość czysty, żeby przed jasnością Boską stanąć. I w to nie dufaj że czas jeszcze boś młody: bo śmierć nie przebiera, a nie wiecie ni dnia, ni godziny.”

„Dobrze mówicie—rzekł Felek zwiesiwszy głowę,—niech wam Bóg da wszystko dobre że tak nas młodych nauczacie.”

„Tego samego jeszcze daleko lepiej nauczają w kościele—odpowiedział Jakób. Wszak Wróblewski słuchając Ewangelii i nauk, to wszystko rozumiał i wiedział; i ja też idę za jego radą, więc i wy młodzi, uważajcie, słuchajcie a Bóg wam da światło. Ach! gdyby Bóg tak dał: gdyby ludzie chcieli się nawrócić i to światło Boże

przyjąć, toby im jeszcze na tym świecie było dobrze, bez pijaństwa, kradzieży, rozpusty, próżniactwa, żyliby w zgodzie!”

„Do tego idzie mój ojciec, do tego idzie — zawołał Stach. Dziękować Bogu, że nasza wieś tak się już odmieniła; powoli pójdą i inne za naszym przykładem. Sami powiedzcie: czy przed laty tak się kiedy ochota jaka skończyła zgodnie, bez obrazy Boskiej? Ot o mało nie cały dzionek przepędziliśmy na zabawie, a bez żadnego zgorszenia; dziecko by słuchać i patrzeć na nas mogło, a dziękować Bogu i najedliśmy się i napili i nagwarzyli i różnych rzeczy dobrych nasłuchali. Ach doprawdy, radbym żeby wszyscy ludzie wiedzieli, jak to my się tu ładnie u was kumo zabawili! Już dawno tak wesoło nie było; aż żal że się na nas nie patrzyli; żeby tak wiedzieli w innych wsiach, jak teraz u nas każda ochota wesoło i zgodnie i dostatnio odbywa się, to pewnieby się im zachciało naśladować nas.”

„Trzeba ich było wszystkich zaprosić,” powiedziała Paraska śmiejąc się.

„Albo im to wszystko opowiedzieć—

dodał Felek. — Marynka prędko gada i prędko biega: jakby się zabrała, toby wnet wioski okoliczne obleciała i opowiedziała jak to było.”

„No! no! znów mnie szczypiesz?—odpowie Marynka. — Za co ja mam się fatorygować;— Felek taki mądry; nauczył się czytać i pisać: niech wszystko spisze.”

„Co tam Felek—powiedziała Paraska;— ale co mój Stach to gotów opisać. Jeszcześmy we dworze byli, jak raz z pułapki uciekła mysz i wlała w łóżko do pani Lipnickiej; — a ona myślała w nocy że to złodziej kołdrę z niej ściąga, bo jej się coś śniło o złodziejach; więc jak się obudziła i uczuła że coś buja po kołdrze, tak zaczęła krzyżeć. Więc ja świecę zaświeciłam.—Aż tu mysz! Tak z tego śmieliśmy się, — a Stach opisał to tak śmiesznie że wszyscy pękali ze śmiechu. O! bo on to tak umie wszystko i opowiadać i opisać.”

„A jakby wiedziała, że jak się zabiorę tak wszystko opiszę, jak co było: jak dawniej tu się działo, jak teraz; opiszę jakieśmy się tu zeszli, jak ten mówił to, drugi owo;—wszystko opiszę.”

„Opiszcie! opiszcie!—zaczęli wołać. Jak się kiedy zejdziemy, to nam pokażecie to swoje pisanie. Tylko przecie napiszcie że wszystkie dziewczuchy były ładne”—powiedziała Marynka śmiejąc się.

„Ho! ho! Stach dworak; on by to na prawdę potrafił; ale czy mu się to zechce?”—mówi Marcin.

„Czemu nie, kumo? Zechce mi się, bo ja okrutnie lubię pisać. Kupię sobie cały funt świec, choćby dwa, i będę wieczorami pisał.”

Jeszcze chwilę pogawędzili, pożartowali i rozeszli się każdy do domu.

A Stach jak powiedział tak uczynił:—wszystko spisał i zaniósł do pani swojej; bo się pani od Marynki dowiedziała o tém, więc chciała wiedzieć i bardzo była z tego rada; popoprawiła co trzeba było i dodała historję Stacha, bo on powiedział, że wstydził by się swoją własną historję opisywać.

We cztery miesiące potém, w same ostatki, dwa wesela się szykowały. Felek żenił się z wójta córką Ulką, a Marynka szła za najstarszego dworskiego fornała,

bardzo dobrego i pracowitego chłopaka. Tak znów wszyscy się zebrali do ojca Ulki, do wójta. Jak tylko Stach przyszedł, tak sobie zaraz przypomnieli że on miał opisywać jakie to były chrzciny. I dalejże pytać go: a co Stachu? opisałiście chrzciny?

A Stach wyjmując z zanadrza gruby taki zwój papieru i mówi:

„A widzicie żem opisał.”—„Czy to i wesele myślicie opisywać?”—zapytali.

„Jeszcze nie wiem; jeżeli wam się podobają te chrzciny com opisał, to potém, da Bóg doczekać! — i wesele opiszę.”

KONIEC.



111

59705